Nr. 276 Lwów — Piątek dnia 2 Grudnia. Rok 1892.

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

Cena prenumeraty we Lwowie:
Bez dostawy miesięcznie 75 ct.
Z dostawą do domu „ 1 złr.

Prenumeratę we Lwowie przyjmują:
Biuro Dzienników ul. Karola Ludwika l. 9.
Trafika przy ul. Karola Ludwika l. 5.
„ J. Ważnego przy ul. Czarnieckiego l. 2.
„ przy ul. Słowackiego (obok łaz. Diany)
„ Niemojowskiego ul. Jagiellońska l. 6.
Prenumeratę z dostawą do domu we Lwowie należy składać w Biurze Dzienników ulica Karola Ludwika l. 9.
Numer kosztuje 4 ct.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI

Cena prenumeraty na Prowincyi:
Miesięczna złr. 1·10 | Półroczna złr. 6.
Kwartalna „ 3·— | Roczna „ 12.

Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Prenumeratę należy przesyłać przekazami. Do przesyłanej w kopertach pieniężnych należy dodawać 5 ct.

Cena anonsów:
Wiersz petitowy w inseratach 6 ct.
„ „ w nadesłanem 20 ct.
Prenumerata datuje od 1-go lub od 15-go.
Rękopisów Redakcya nie zwraca.

Dziś: św. Bibiany P. | Hryhorya Dek.
Jutro: św. Franc. Ksaw. | Wowed. Boh.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca g. 7 m. 37
Zachód „ „ 4 „ 1

Długość dnia g. 8 m. 24
Ubyło dnia od wczoraj 3 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 1 grudnia.

Londyn jest teraz w ogromnym strachu, bo się po prostu obawia rzezi, którą mają jakoby sprawić głodni robotnicy. Zapewne skończy się wszystko na strachu, jednakże to usposobienie olbrzymiej stolicy smutno świadczy o zaufaniu, jakiem publiczność obdarza gabinet Gladstona. Jego to bowiem jest winą, że mogła wytworzyć się sytuacya tak ciężka i niepewna dla spokojnych obywateli. Rzecz tak się przedstawia. Co roku z nastaniem zimy pojawiają się w Londynie ogromne tłumy niezatrudnionych robotników, bo znacznie mniej przypływa okrętów, mniej ich wypływa, więc ruch w dokach redukuje się do czwartej części zwyczajnego w innych porach roku. Wówczas wszyscy tragarze nie mają co jeść i zaczynają się burzyć. Z tego właśnie powodu listopad jest miesiącem robotniczych demonstracyi, urządzanych zwyczajnie na Trafalgarskim Skwerze. Przed kilku laty przyszło tam do zbrojnego starcia z policyą, potem do rabowania sklepów i wreszcie do epilogu przed sądem. Posadzonych na ławie oskarżonych bronił adwokat Asquith i choć nie obronił, zyskał jednak wielką popularność u robotniczych tłumów. Przy niedawnych wyborach do parlamentu obdarzyły go one mandatem, a Gladstone nie miał nic pilniejszego, jak powołać go do gabinetu i dać mu tekę ministra spraw wewnętrznych, do których także należą wszystkie robotnicze stosunki. Po owym procesie, w którym Asquith występował jako obrońca robotników i dowodził, że oni mają prawo publicznie wyrażać swe potrzeby i nawet gwałtem się dopominać o kawałek chleba, bo obowiązkiem społeczeństwa jest troszczyć się o pierwsze potrzeby swych obywateli, wydał gabinet Salisbury'ego rozporządzenie administracyjne, zakazujące wszelkich ulicznych zgromadzeń, ale zarazem otworzył w różnych punktach państwa rozliczne roboty kanałowe, melioracyjne, portowe i t. d., przy których ci robotnicy mogli mieć zarobek. Roboty te już się skończyły, innych pomysłowy Gladstone jakoś nie wynalazł, a tymczasem zwyczajnym rzeczy porządkiem przyszedł listopad, a z nim głód robotników dokowych. Przywódzcy ich — zawodowi socyaliści i anarchiści — udali się do byłego adwokata, a dziś ministra Asquitha z zapytaniem, czy jest teraz tego samego zdania, jakie wyrażał ongi przed sądem. Trudna była rada: gabinet musiał się zgodzić na cofnięcie administracyjnego rozporządzenia, którem zakazane były uliczne zgromadzenia, pochody i demonstracye. Socyaliści wygrali pierwszą kartę i w uniesieniu radośnem postanowili urządzić szereg demonstracyi. Więc główną uplanowali w rocznicę pamiętnej walki z policyą i rabunku sklepów, na 18 listopada, ale żeby przygotować uczucia do tej fety, zarządzili kilka innych, próbnych manifestacyi. Odbyły się tedy one 6-go, 9-go i 14-go listopada. Przed niemi, zaraz po zniesieniu zakazu zgromadzeń, obywatelstwo zaprotestowało przeciw narażaniu publicznego bezpieczeństwa, ale nie otrzymawszy od rządu nic, oprócz gołosłownych uspokojeń, postanowiło samo mieć się na ostrożności. Więc w dniach demonstracyi sklepy były zamknięte żelaznemi kurtynami, wejścia do domów zaryglowane, tramwaye i omnibusy nie kursowały, ludność się pochowała, po pustych ulicach olbrzymiego miasta włóczyły się tylko hałasujące tłumy z czerwonemi i czarnemi chorągwiami. Ostatecznie tedy minęły te demonstracye bez efektu, bo znienawidzony przez anarchistów porządek społeczny ani drgnął, owszem, nauczył się lekceważyć groźną postawę armii anarchicznej. Wszelako po każdej demonstracyi wzywały dzienniki Gladstona, aby przecie wyszukał jakąś robotę dla głodnych tłumów, których wielkość obliczają, wraz z kobietami i dziećmi, na 80 tysięcy. Ale Gladstone, rad, że z nastaniem zimy może rąbać drzewa w swym hawardeńskim parku, a zresztą zajęty kwadraturą koła irlandzkiego, puszczał te wołania prasy mimo uszu. Jest on zdania, że uczucie głodu, to osobista sprawa człowieka, choćby ten uczuciem tem dzielił się z tysiącami. Zostało tedy wszystko po dawnemu. Lecz i anarchiści byli niezadowoleni z rezultatu demonstracyi, postanowili koniecznie wstrząsnąć społeczeństwem, choćby mieli krwią spłukać ulice. Więc zarządzili nową demonstracyę na 5-go grudnia w nocy. Rychło powstała głucha wieść, że odbędzie się ona w rodzaju nocy Św. Bartłomieja: pożar i rzeź. Nie wierzono temu, śmiano się. Tymczasem intendantura wojenna, jak zwykle co roku, poczęła odbierać do przechowania broń od żołnierzy korpusów ochotniczych. Te korpusy składają się z cywilnych obywateli, zwoływanych w jesieni, codzień na parę godzin, na ćwiczenia. Na ten czas żołnierze ci otrzymują broń rządową, którą trzymają u siebie i zwracają ją arsenałom dopiero po sezonie ćwiczeń. Otóż teraz się okazało, że robotnicy, należący do korpusów ochotniczych, a nie mający zatrudnienia, broni i ładunków nie oddali. Nie oddali nawet kilkunastu armat i nie wiadomo, gdzie je schowali. Zwróciło to uwagę, przypomniano sobie głuchą wieść o zamierzonej nocy św. Bartłomieja i popchnęło do poszukiwań i badań. Wykryto tedy, że wszyscy robotnicy głodni zaopatrzyli się w różną broń i nawet są jakoś zorganizowani w oddziały. Stąd wybuchła obawa, że w nocy z 5-go na 6-ty grudnia może wybuchnąć rzeź. Przekonał się p. Asquith, jak to jest nierozsądnie czynić niepotrzebne ustępstwa anarchicznym wilkom w ludzkiej skórze, bo cóż on może uczynić? Powiększył zastęp miejskich konstablów, oto wszystko, bo na szczupłą i wciąż buntującą się gwardyę liczyć niepodobna, a innego wojska Anglia nie posiada w kraju; pułki swoje rozrzuciła po szerokim świecie i trzyma niemi w ryzach Indyan, Arabów egipskich, Cypryjczyków, Hiszpanów w Gibraltarze, Włochów na Malcie i t. d. Okrętami nie nastraszy robotników. Więc pozostaje liczyć na samopomoc obywatelstwa, — rzecz w Anglii zupełnie możliwa.

Jakoż, od chwili, jak wykryto dziki zamiar anarchistów, niebezpieczeństwo się zmniejszyło. Kilkomilionowy Londyn potrafi odeprzeć nacisk choćby 80-cio tysięcznego tłumu, którym kierują anarchiści. Zapewne oni sami zaniechają swego zamiaru, widząc, że społeczeństwo jest przygotowane i na pierwszy wystrzał odpowie salwami ze wszystkich okien. Więc nocy św. Bartłomieja nie będzie. Ale cała ta sytuacya bardzo źle świadczy zarówno o zdolności rządzących gabinetu, jak o wewnętrznym stanie Anglii. Z podwojoną energią zaczęły pracować wszelkie komitety emigracyjne, ułatwiające proletaryuszom wyjazd za ocean, głównie do Ameryki północnej, bo w Australii już ciasno, a w Afryce nie ma co robić biedakom, tam tylko przemysłowcy mogą wyzyskiwać bogactwa ziemi i pracę murzynów. Lecz na nieszczęście Ameryka północna już nie chce przyjmować emigrantów. Waszyngtoński kongres będzie niebawem dyskutował nad demokratycznym projektem zatamowania emigracyi z Europy w ten sposób, że od każdego emigranta będzie wymagana umiejętność czytania, pisania i arytmetyki, a nadto każdy z nich musi posiadać jakieś rzemiosło i co najmniej 100 dolarów. Zatem emigrant, żonaty i mający dwoje dzieci, musi mieć 400 dolarów, około 900 reńskich, to znaczy taki kapitalik, że gdyby go miał, toby nie emigrował. Kwestya przeludnienia staje się najstraszniejszą ze wszystkich, jakie zna Europa.

Paryskie dzienniki są wielce zatrwożone zamianowaniem jenerała Werdera niemieckim ambasadorem w Petersburgu, bo widzą w tem dowód, że car stara się o lepsze stosunki z Niemcami, za czem oczywiście pójdzie odsunięcie się caratu od Francyi. Przyczynę nieszczęścia tego upatruje prasa paryska w coraz większej chaotyczności francuskich stosunków i naturalnie całą winę zwala na konserwatywną prawicę, która doprowadziła do upadku gabinet Loubeta. Alež Werder był powołany na ambasadora przed upadkiem tego gabinetu. Zresztą organ sfer elyzejskich *XIX Siècle* uspokaja opinię zapewnieniem, że niebawem Rosya da Francyi ekwiwalent wspaniały za powołanie Werdera, mianowicie gorący przyjaciel Francyi, ambasador carski w Paryżu baron Mohrenheim zostanie ministrem spraw zagranicznych, a miejsce jego zajmie również z duszą i ciałem oddany Francuzom szef sztabu jeneralnego Obruczew, ale i na tem nie koniec, bo zwolennik dobrych z Niemcami stosunków, ambasador berliński Szuwałow otrzyma urząd jeneralnego gubernatora moskiewskiego, a stanowisko w Berlinie obejmie po nim jakiś panslawista. Wolno to wszystko zapisać między baśnie, któremi szpaków karmią.

KORESPONDENCYE.

Londyn 27 listopada.

Gęsta, nasycona dymem i siarką mgła zapełnia ulice Londynu, tak, że na parę kroków przed sobą nic widzieć nie można, a niemniej ciemna i nieprzejrzana mgła panuje w świecie politycznym: nieporozumienia w łonie gabinetu nie ułożyły się jak słychać, Harcourt patrzy krzywo na Roseberryego, ten znów grozi wystąpieniem z gabinetu, jeśli mu ktoś poważy mięszać się w sprawy polityki zagranicznej i zechce wprowadzić ją na inne tory niż za lorda Salisburyego, jednem słowem przyszłość gabinetu streszcza się w dwóch zgłoskach: nie wiem. Na bankiecie u lorda majora lord Kimberlei wypowiedział mowę, której treścią główną było także owo „nie wiem", a męczący znak zapytania zawisł również nad kwestyą, którą zainicyował gabinet: pod jakimi warunkami, wywłaszczeni czynszownicy irlandzcy mogliby wrócić do swoich osad?

Wybrano w tym celu komisyę, zrobiono jej przewodniczącym sędziego Mathews i oczekiwano pomyślnego wyniku rokowań, tymczasem spełzły one na niczem, gdyż adwokaci, reprezentujący lordów, do których ziemia w Irlandyi należy, nie chcieli w żaden sposób zgodzić się na propozycye p. Mathewsa i z oburzeniem opuścili salę obrad komisyi.

A więc mamy w polityce prowizoryum na całej linii. Tymczasem zatem publiczność londyńska, która potrzebuje koniecznie jakiejś strawy dla zaspokojenia swej ciekawości, zwraca swą uwagę na mniej ważne sprawy. Zmarł książę Malborough, więc poczęto sobie przypominać jego przeszłość, „co to była za awanturnicza natura, figurował niemal w każdym procesie rozwodowym", powtarzano sobie i przez kilka dni interesowano się tylko księciem Malborough, a była to rzeczywiście postać oryginalna, mająca w sobie wiele z psychopatologii. Wychował się w sławnej szkole w Eton i kolegował tam z obecnym ministrem spraw zewnętrznych, lordem Roseberrym. Ale podczas gdy ten pracowitością i zdolnościami górował nad kolegami, markiz de Blandford, późniejszy książę Malborough, sławnym był ze swych miłosnych awanturek po za murami szkoły. W dwudziestym szóstym roku ożenił się z córką księcia d'Albercon, lecz mimo to nie zaniechał swego awanturniczego życia. Łączył go wówczas stosunek miłosny z lady Ayleford, mąż się o tem dowiedział i podał o rozwód, sprawa się rozgłosiła, lady Blandford dowiedziała się o sprawkach swego męża i po roku pożycia, wytoczyła swemu mężowi proces rozwodowy, który skończył się dopiero po pięciu latach. Młody markiz pozbywszy się żony rozpoczął życie jeszcze bardziej hulaszcze, pieniądze płynęły jak woda, a chociaż był bardzo bogatym zasoby jego musiały się wreszcie wyczerpać. Kiedy w r. 1888 odziedziczył po ojcu tytuł księcia Malborough, było już bardzo źle z jego majątkiem. W rodzinnym jego zamku była wspaniała galerya, której główne bogactwo stanowiły obrazy Tycyana, sprzedano ją na licytacyi za długi, również pod młotek poszły wyborna biblioteka i nieocenione zbiory emalii i bronzów. Ale książe nie stracił mimo to rozumu i jak w operetce z lekkiem sercem i śpiewką na ustach puścił się za ocean dla podreperowania swego majątku. Powiodło mu się nadspodziewanie dobrze. Ożenił się tam z wdową Lilianą Warrau niesłychanie bogatą, którą potrafił olśnić swemi przymiotami towarzyskiemi. Powrócił do Anglii, odnowił starożytną siedzibę swej rodziny Bleneheim i rozpoczął całkiem nowe życie, usunął się bowiem zupełnie od zgiełku światowego, poświęcił się literaturze, zajmował się gorliwie przemysłem w swoich dobrach i umiejętnie badał elektryczność. Aliści powtórzyło się z nim to co zawsze bywa z lampartami: — odkąd stał się porządnym człowiekiem, zaczął zapadać na zdrowiu i rychło umarł.

Najdziwniejsze rzeczy dzieją się w tym mglistym Londynie. Kiedy się czyta angielskie powieści, pełne tajemnic, w których książęta lub księżniczki indyjskie i perskie rzucają milionami, a potem schodzą między żebraków, wałęsających się po ulicach Londynu, zdaje się nam, że to niemożebne, że to gorączkowy wytwór fantazyi autorskiej. A jednak zdarzają się takie dramaty.

Któżby się naprzykład spodziewał, że po za oskarżeniem pewnej 18-letniej mistres Maude o kradzież, kryje się podobna historya? A było to tak. Pewien bogaty Anglik, mający dotychczas jeszcze jeden z najpierwszych magazynów krawieckich w Londynie, odbywał bardzo zwykłą u Anglików podróż naokoło świata. Przybywszy do Persyi, poznał pewną księżniczkę, córkę jednego z wielkorządzców Szacha, zakochał się w niej, wziął ślub w poselstwie angielskiem w Teheranie i powrócił z żoną do Anglii. Zrazu małżeństwo żyło w jak najlepszej zgodzie, ciesząc się jedyną córeczką, którą ich związek został pobłogosławiony. Ale wnet wmięszał się między małżonków niejaki major Maude, harmonia prysła. Oboje więc, aby niezatruwać sobie życia, podali o rozwód. Ale major Maude niebardzo gorliwie opiekował się księżniczką, trwonił jej pieniądze, a kiedy wreszcie ich zabrakło, opuścił biedną kobietę. Kiedy wreszcie córka jej doszła do 18-go roku życia, znalazły się obie w położeniu bez wyjścia, zasobów prawie żadnych, a zewsząd nalegania wierzycieli o zapłacenie długów. Przyzwyczajenia dawne pozostały, a pracować żadna z nich nie potrafiła. Doszło wreszcie do tego, że nie było co do ust włożyć. Wtedy mistres Maude (bo to nosiła nazwisko) zdecydowała się na ryzykowny krok. Poszła do jednego z najpierwszych magazynów jubilerskich i zażądała przysłania kilku srebrnych tac i świeczników do domu do wyboru dla matki. Jubiler złudzony pozorami i arystokratycznemi manierami majorówny, posłał srebra do jej mieszkania przez zaufanego subjekta. Mistres Maude zatrzymała przyniesione przedmioty pod pozorem, że musi się wstrzymać z wyborem, gdyż matka jest chora. Po paru dniach odesłała kilka tac i świeczników, mówiąc, że te wybrała i prosi o wyrycie na nich herbów familijnych, resztę zaś sreber zatrzymuje do dalszej decyzyi. Jubiler jeszcze się nie domyślił niczego, odstawił tace i świeczniki z wyrytymi herbami i czekał cierpliwie. Ale upływał tydzień za tygodniem, a pieniędzy ani zabranych przedmiotów nie było. Wreszcie jeden z dyrektorów firmy udał się do panny Maude i zażądał wyrównania rachunku. Nie otrzymawszy zadośćuczynienia, udał się do policyi, a ta przekonała się, że srebra te zastawiono w dwóch lombardach za 165 fst. Wkrótce jeden ze składów futer wystąpił z podobną skargą, pannę Maude więc uwięziono i stawiono przed sąd pod zarzutem kradzieży. Tymczasem kiedy córka odpowiadała przed sędzią śledczym, w jednym z hoteli londyńskich rozegrał się ostatni akt smutnego dramatu jej matki, księżniczki perskiej. Późnym wieczorem przybyła ona z małą torebką na ręku i zażądała od szwajcara pokoju na noc, a w księdze hotelowej zapisała się jako Mrs. Maitland i zamknęła się w swoim pokoju. W dwie godziny potem zapukał do niej portyer, a na zapytanie czego chce, odpowiedział, że ma z nią coś do pomówienia, — ale p. M. nie otworzyła drzwi, mówiąc że nie ma czasu. Nazajutrz o godzinie 8 rano spostrzeżono jej ciało na dziedzińcu hotelowym z rozstraskaną głową. Znaleziono przy niej znaczną ilość telegramów od dostawców sklepowych i lichwiarzy, z domaganiem się o zapłatę należytości. Z telegramów tych dowiedziano się, że samobójczyni jest matką oskarżonej mistres Maude, i wtedy cała ta historya rozjaśniła się sędziom.

W świecie dziennikarskim zanosi się na ważną zmianę. Jeden z największych dzienników angielskich *Pall Mall Gazette*, ma przejść na własność członka parlamentu, Jerzego Newnes, który nie należy wprawdzie do zawodowych literatów, lecz odznacza się niesłychanym sprytem wydawniczym. Życie jego to najdoskonalszy wzór samopomocy. Jerzy Newnes bowiem rozpoczął od małego, jako skromny komiwojażer, zanim powziął zamiar założenia obecnie rozgłośnego pisma *Tit Bits*, co znaczy „Wyborowe kąski", tygodnika, redagowanego jedynie za pomocą nożyc. Newnes jeżdżąc jako komiwojażer koleją, nie czytywał w drodze nic innego, prócz ostatniej karty w tygodniku *Family-Herald*, zapełnionej drobnemi dowcipami i faktami z dziedziny popularnej wiedzy, literatury i sztuki. Pewnego dnia wpadł na koncept: „Jeżeli, — powiedział sobie, — mnie bawi i zajmuje ta jedna karta, to w wydawnictwie 16—24 kart podobnych może być świetny interes!" Tego samego dnia pożyczył od znajomego 200 fst. i z tym kapitalikiem rozpoczął przedsiębiorstwo, które doszło dziś do kolosalnych rozmiarów. „Kąski", założone w r. 1884, wychodzą obecnie w 1,250.000 egz. tygodniowo, a miejsce do ogłoszenia na całej stronie okładki kosztuje jednorazowo 130 fst. czyli 1.625 zł. Zachęcony w ten sposób Newnes założył przed półtora rokiem pysznie ilustrowany miesięcznik *Strand Magazine*, rozchodzący

---

55)

WIARUSY

POWIEŚĆ

WACŁAWA MASŁOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Jako rzekł, tak niezmiennie trwało przez wieki — i między niebem a ziemią była miłość i zgoda, sława zaś Kumycyi wyżej od Kazbeku urosła. Bogowi wilków Tyrtyrowi składano obfite dary, żeby zawsze dosyć miał spyży dla swych drapieżnych sług i nie wysyłał ich na rabunek owiec, któremi zacnie się opiekował łagodny bóg Falwar. Bogowi myślistwa Awsatiemu kładziono na pniach ser i bawole rogi z piwem, aby po łowach miał się czem posilić i będąc przez to w łaskawem usposobieniu, nie skąpił ludziom zwierzyny. Sau, bóg lasu, i Donbytyr, bóg wody, otrzymywali zawsze dziesięcinę jagód, grzybów, miodu i ryb. Bynaty-bóg, przebywający w białym baranku, opiekował się zacnie całem gospodarstwem, więc też lud wdzięczny stawiał mu dzuary w każdym aule, a w około każdego dzuaru kobiety nie zaniedbywały wieszać przędziwa i płótna, mężczyzni — snopów i sprzętów drewnianych, a dzieci — zabawek. Dla bogini Safy, opiekunki rodziny, w każdym domu płonął niegasnący ogień. Wielkie dary składano bogowi Rynybarduagowi, aby nieznużenie odpędzał choroby od ludzi i bydła. Stróżowi u wrót zagrobowego świata Aminonowi i sędziemu Barastyrowi, który każdemu człowiekowi wyznaczał miejsce w raju, albo piekle, także nie skąpiono ofiar, choć obaj byli okrutnie surowi. Krótko mówiąc, porządek nakazany przez Chcao-boga był tak sumiennie przestrzegany przez ludzi, że nawet bóg złodziei Suabareg był całkiem zadowolniony i wszystkich łotrzyków trzymał na uwięzi.

Lecz cieniem szczęścia jest zarozumiałość. Myśleli Kumycy, że nie ma potęgi, któraby ich skruszyć zdołała. Głupi! W sobie tę potęgę mieli. Dali do siebie przystęp myślom swawolnym, a z nich zrodził się Chucuan-bóg — on zburzył niebo, ziemię i lud wytępił.

Tak było. Zmarł bogaty uzdeń. Krewni, sprawiwszy wspaniałą stypę, przystąpili do podziału schedy, przy czem — jak to często bywało — srodze się poważnili i łby sobie pokrwawiwszy szpetnie, rozjechali się w nienawiści. Tymczasem zmarłemu uzdeniowi grób się nie podobał. Więc zaczął upiorem biegać po świecie, stukał do drzwi krewniaków, ogniska im gasił, zwierzynę na łowach od nich odpędzał, statki domowe psuł, tak się domagając innego grobu. A krewniacy ani słyszeć o tem nie chcieli. Każdy z nich mówił: „A co to? Drugą stypę będę sprawiał? Niech łożą inni, którzy skrzydzili mnie przy podziale schedy!"

Wtedy zaś mądrzy sąsiedzi mówili im:

„Ej, krewniacy, krewniacy! Poniechajcie waśni, na nowy pogrzeb wszystek lud zaproście, jako każe święty obyczaj. Więc rozkopcie mogiłę, połóżcie nieboszczyka na arbie, ubranej w kwiaty i dębowe liście. Czcigodni dzuangarowie wprzęgną do arby cztery byki białe, które jeszcze jarzma nie dźwigały. Wtedy krzyk podnieście wielki. I pobiegną byki, kędy chce nieboszczyk. Przez pola pobiegną, przez łąki zielone, przez lasy cieniste. I staną byki tam, gdzie chce nieboszczyk. W tem miejscu dół wykopiecie i na liściastem łożu złożycie nieboszczyka. I dacie mu: pod głowę miech wina, aby miał czem przystojnie ugościć stróżów niebieskich; pod bok garnek z jęczmieniem, aby nakarmił żarłoczne kruki boga Aminona, do ręki miecz ostry ku obronie od niebieskich wilków. Potem wysoki kopiec nad mogiłą wzniesiecie i na nim do smacznego jadła zaprosicie żywych: niech jedzą i w długiej pamięci chowają zmarłego!"

Tak mówili mądrzy sąsiedzi krewniakom, lecz ci na nieboszczyku skupiwszy wzajemną nienawiść, zebrali się w nocy na jego mogile, z niej go wywlekli, a uciąwszy mu głowę, aby po świecie upiorem nie biegał, znów w dół rzucili i kopiec usypali.

Wieść o tem rozeszła się szeroka i głośna, bo tak chcieli bogowie. Wielki dzuangar (arcykapłan) z liczną dzuangarów rzeszą wyszedł na majdan, stukając złotem kosturem. Wnet zbiegli się uzdeniowie w miedzianych blachach i czagarowie w szubach; w płótniankach kasagowie z dala stanęli. Szamchał wyjechał na rumaku, pokrytym szkarłatną kapą, za nim dwór się wyroił i ciasno się zrobiło na ogromnym majdanie.

Wtedy głos podobny do trąby podniósł wielki dzuangar, żądając srogiego ukarania winowajców, możnych uzdeniów, którzy grób znieważyli, łamiąc święty obyczaj.

Lecz cóż to się stało? Milczy szamchał, oczy w ziemię utkwiwszy. Milczą dzuangarowie, zakrywszy twarze rękami. Milczy uzdeniów zbrojna rzesza, tylko oczami groźnie strzela i za miecze się chwyta. Milczy tłum zniewieściałych czaragów, jeno ramionami obojętnie wzrusza. Milczy kasagów ciżba, uśmiecha się i głowami kiwa.

I wszyscy słyszą, chociaż nikt nie mówi: „Możni są ci, przeciw którym niebacznie wystąpił wielki dzuangar. Komu życie niemiłe, ten niech wyrok głosi."

Komuż życie niemiłe? — któż wyrok wygłosi?

Więc milczenie trwało do zachodu słońca. Wtedy rzekł wielki dzuangar, a boleść była w jego głosie:

„Mały kamyk, strącony ze szczytu góry lekkiem skrzydłem ptaka, porywa za sobą inne małe kamyki, te znowu inne, potem już głazy, potem już skały, a te śmierć i spustoszenie szerzą w dolinie... Widzę koniec tej ziemi, zgon tego ludu!"

Tak rzekł i poszedł, a za nim do miasta pociągnęli się inni, śmiejąc się z niego, że od rzeczy mówił, on zaś raz przystanął i dłonie podnosząc, zawołał:

„Szamchale, szamchale! Ty widzisz ile to już stacza się ze szczytu kamyków!"

A szamchał milczał, utkwiwszy oczy w ziemię. I wszyscy zamilkli, bo dziwna trwoga w serca wstąpiła. Lecz gdy zapadły drzwi sozranowego choromu za wielkim dzuangarem, ludziom wróciła wesołość. Śpiewali przez całą noc i pili, nie złożywszy bogom ani jednej ofiary. Z wieżyc dzuarowych nie szły tej nocy ku niebu ofiarne dymy.

Tyrtyr, bóg wilków, zdradliwie napadł łagodnego owiec boga Falwara i oko mu wybił. Rynybarduag, bóg chorób, wielki hulaka i nicpoń, obuchawszy się winem, zakradł się do namiotu bogini Safy i tak nieprzystojnie zaczął się sprawować, że mu ożogiem po łbie machnęła, a gdy i to nie pomogło, okrutnie się rozsrożyła. Jak spała bez wszelkiego okrycia, tak z miękkiego wyskoczywszy łoża, poczęła po całem niebie ścigać napastnika, wciąż bijąc go ożogiem, od czego popękały miechy, w których Rynybarduag nosił choroby. Te zaraz po świecie się rozbiegły. Tymczasem od jęków Rynybarduaga i gniewnych lamentów Safy hałas się uczynił w niebie. Wybiegli bogowie ze swych namiotów, a ujrzawszy odrazu wszystkie powaby bogini, ogień we krwi poczuli i skoczyli do niej jako gorejące płomienie. Wiele sprośności wtedy się stało. Lecz kiedy to się działo, bóg złodziei Suabareg chyłkiem się wśliznął do otwartego namiotu Safy, znęcony widokiem nagromadzonych tam skarbów. Nabrał ich tyle, że ledwo mógł udźwignąć, wracał więc do swego namiotu powoli, a tymczasem więziona przez niego zgraja łotrzyków umknęła na ziemię.

To w niebie jednej stało się nocy, w której ludzie nie zapalili ogni ofiarnych i to stać się musiało, albowiem niebo jest źwierciadłem ziemi.

Na Kumycyę spadły niezliczone plagi. Jednooki bóg Falwar nie mógł owiec obronić od drapieżnych sług Tyrtyra, wilków; znojną pracą nabyte mienie zuchwale rozszarpywali złodzieje; wystrzegając się zbójów, rolnik przestał wychodzić w pole, kupiec nie jeździł z towarami; straszny mór przyszedł na ludzi i bydło; żony jawnie chodziły z gachami; święty łańcuch, wiszący nad domowem ogniskiem, mężowie na pieniądze przekuli; wreszcie dzicy Chazarowie obsiedli granice Kumycyi, wyciskając z niej krew, a nie było nikogo, ktoby chciał ich odeprzeć. Więc szli jako rozhukana fala, niosąc płomień przed sobą, a za sobą śmierć zostawiając. Szli na Szkanty.

Tu wszystek lud się zebrał i huczał trwogą, przeklinał, bluźnił. Na Abajowy zamek się rzucił — i nie stało zamku; na Sozranowy uderzył — i stamtąd jeden płomyk wzleciał w niebiosa, a cały gmach prysnął w drobne kawałki, ludzie zaś wścieklizny dostali, mordowali się i krew żłopali.

Potem bogów na swój sąd pozwali i wyrok spisawszy na błonie, do ogona jaskółki go przywiązali i ptaszynę tę posłali do nieba.

Frunęła ona aż pod gwiazdy, lecz tu ją otoczyła straszna czarna chmura, krwią nasycona wonią sprośności, swądem żądz ohydnych. Na chmurze tej siedział jak węgiel czarny, z czerwonemi oczami Chucuan-bóg.

„Gdzie lecisz? — spytał ptaszynę.

„Do boga — odrzekła, — niosę ludzkie pisanie."

„Jak do ludzkiego boga, — odparł Chucuan-bóg, — to do mnie. Jam jest ich myślą, z ich żądz się składam. Dawaj pisanie!"

Lecz ptaszyna złożyła skrzydełka, chcąc spaść na ziemię, ale pochwycił ją Chucuan-bóg, głowę jej urwał, a pisanie zabrał.

Szeroko rozsunęła się czarna chmura, ognie po niej poczęły biegać i powstał huk niemilknący a straszny. Ciekawością zdjęci, ludzie patrzyli, co będzie. Lecz zadrżała ziemia, wydając głuche jęki, potem się rozstąpiła i Szkanty z całym ludem runęły w czarną otchłań, a na tem miejscu rozlała się zielona cuchnąca woda

się obecnie w 750.000 egz., a przed rokiem nowy tygodnik *The Million*, ilustrowany kolorowo, mający już 400.000 czytelników, sprzedawany, jak „Kąski“, po cenie jednego penny.

Gwiazdą obecnego sezonu, przynajmniej dla bywalców Teatru rozmaitości jest nie jakaś śpiewaczka lekko ubrana, ani atleta niemiecki, ani nawet perski pożeracz ognia, tylko poprostu kangur, który się umie boksować i to wedle wszelkich reguł sztuki. Potrzeba być Anglikiem, aby stać się godnym pojąć znaczenie tej osobliwości. Sztuka boksowania się jest narodowym sportem Anglików, z której są dumni i sądzą, że tylko oni zdolni są zgłębić wszystkie tajniki tej sztuki. A tu jako mistrz w boksowaniu występuje nietylko Nie-Anglik, ale poprostu zwierzę!

Londyńczycy twierdzą, że widok boksującego się kangura jest dla nich upokarzającym, ale zarazem imponującym. Zwierzę co wieczora staje w akwarium do walki „na pięście“ ze swoim panem wśród oklasków rozentuzyazmowanej publiczności. Obaj zapaśnicy „wedle reguł markiza Queensbury“ mają na sobie specyalne kostyumy bokserskie, to znaczy, że mężczyzna pięście, a kangur przednie łapy ma ukryte w grubych rękawicach. Kangur wytrzymuje doskonale przepisane pauzy, posłuszny jest każdemu zawołaniu sekundanta, zadaje silne, dobrze wymierzone, niechybne ciosy, a tę ma wyższość nad bokserami rodzaju ludzkiego, że nigdy nie traci dobrego humoru. Jedna tylko nieprawidłowość wydarza mu się. Bijąc się, opiera się kangur na olbrzymim swym ogonie przedewszystkiem — i może jedną z tylnych nóg poruszać, od czasu więc do czasu zadaje swemu panu „dodatkowe“ uderzenia jedną z tylnych nóg. Właściciel tego zwierzęcego cudu, niejaki p. Ladermann, złapał tego kangura własnoręcznie w lasach australskich i robi na nim pyszny interes, gdyż dwie z londyńskich „Music Hals“ płacą mu po 3000 mark tygodniowo za codzienny, kwadrans trwający występ. Nic więc dziwnego, że p. Ladermann, kiedy Sara Bernhardt, zachwycona jego wychowankiem, chciała go odkupić za 20.000 franków, za całą odpowiedź wydął tylko pogardliwie wargi.

Listy z Ameryki.

I.

Wszyscy zostajemy pod wrażeniem świeżo dokonanych wyborów prezydenta Stanów Zjednoczonych, likwidujemy straty i zyski. Oba bilanse są kolosalne, ale pierwszy jest pozytywny, a drugi przypuszczalny, dopiero przewidywany. Sama sprawa wyborów jest tak ciekawa, że w szeregu moich peryodycznych listów o Polakach w Ameryce i o wystawie chicagoskiej postanowiłem umieścić dwa niniejsze, w których wyłącznie odpowiem na te pytania:

1. Ile kosztują wybory prezydenta? i
2. Ile kraj traci przez stagnacyę we wszystkich interesach podczas wyborów?

W liście niniejszym odpowiem na pierwsze pytanie, a w następnym na drugie.

Przystępuję do rzeczy. Mamy dwa główne, historyczne, bo istniejące od wywalczenia niepodległości Stanów Zjednoczonych i bardzo nieprzyjazne stronnictwa, oba noszące przestarzałe nazwy: jedno demokratyczne, drugie republikańskie. Inne, mniejsze stronnictwa, jak np. fermerskie, albo robotnicze, czyli tak zwane „rycerzy pracy“, chociaż potężnie się rozwijają i niezawodnie kiedyś będą grały na pierwszych skrzypcach, dziś muszą się łączyć z tem lub owem z wymienionych wyżej historycznych stronnictw.

A organizacya wyborcza tych obu stronnictw jest identyczną. W każdem z nich na czele organizacyi, jako widoma głowa, ale nie jako kierownik stoi „kandydat“ wybrany przez konwencyę. Konwencya taka zbiera się na parę miesięcy przed wyborami, opracowuje program, wybiera i ogłasza kandydata. Jestto pierwsza, przygotowawcza faza walki, rozgrywająca się na wewnętrznym gruncie stronnictwa. Tu współzawodniczą między sobą różni kandydaci, decydują się kwestye osób, zaś zdecydowane stają się bezwarunkowo obowiązującemi dla wszystkich członków stronnictwa. Luzem nikt nie idzie i na własną rękę nikogo nie forytuje. W tym roku kowencya demokratyczna odbyła się dnia 22 czerwca w Chicago, republikańska wkrótce potem w Minneapolis; pierwsza ogłosiła Clevelanda, druga Harrisona. Około tych dwóch nazwisk wszczyna się walka.

Kieruje nią nie kandydat, który z racyi przyszłego stanowiska musi być bardzo w słowach i czynach ostrożnym i samodzielnie nie robi żadnego kroku, lecz polityczny wódz stronnictwa, wynagradzany zwykle, w razie zwycięstwa, teką sekretarza stanu. Ów przyszły sekretarz koncentruje w swych rękach całą organizacyę, śledzi działanie przeciwników, stara się wyzyskać ich słabe strony, nadzoruje centralny komitet wyborczy i komitety lokalne Stanów, inspiruje prasę, przyrzeka i rozdaje miejsca i t. d. Słowem jest maszynistą, który przez cztery miesiące musi stać przy palenisku. Pomaga mu w tej robocie cały legion sekretarzy, bezpłatnych naturalnie, ale wynagradzanych, w razie zwycięstwa, dochodnemi posadami. Oliwy zaś do tej maszyny dostarcza — prezes komitetu centralnego. Dwa są takie komitety, jeden republikański, drugi demokratyczny i każdym kieruje osobny prezes; osobistość to niezmiernie potężna, bo w jej rękach spoczywają fundusze, któremi administruje samowładnie, nie zdając przed nikim rachunków. Musi on być nietylko zręcznym politykiem, lecz przedewszystkiem doskonałym administratorem i człowiekiem zaufania. Jak zaś ostrożnie stronnictwa amerykańskie dokonywują tego wyboru, świadczy fakt, iż nie było jeszcze wypadku, aby który z prezesów wzbogacił się na wyborach, przeciwnie, wielu się rujnowało, topiąc w nich całą swą fortunę.

Od wyboru prezesa, od jego popularności, stopnia zaufania, jakie wśród stronnictwa wzbudza, zależy głównie napływ składek na cele wyborcze. A składki te rosną ustawicznie i kiedy w r. 1880 komitet republikański zebrał 2,250.000 fr., w r 1888 rozporządzał już 4 milj. fr., obecnie zaś jedno i drugie stronnictwo złożyło po 5 milj. okrągło. Płyną one od setek tysięcy subskrybentów i zaczynając się od kilku dolarów, sięgają 10-ciu i 20-tu tysięcy. Na listach widać kupców, przemysłowców, domy bankowe, które, aby nie zrazić klienteli, dają takie same sumy jednemu i drugiemu stronnictwu. W r. 1888 pewien wielki kapitalista podpisał odrazu 1,250.000 fr.

Do tych cyfr należy jeszcze doliczyć składki, zbierane przez komitety lokalne poszczególnych Stanów. Zależne są one od zamożności mieszkańców i jako zupełnie tajne, nie dadzą się ściśle określić. Jedyną rękojmią prawidłowego rozdziału tych pieniędzy jest wybór osoby pewnej i dostatecznie zamożnej na prezesa. Zamożność zaś ta jest niezbędną i z tego względu, że ponieważ składki napływają powoli i nieregularnie, przeto taki prezes komitetu musi dawać ze swej prywatnej kieszeni zaliczki, które dochodzą czasem do 1½ i 2 milj. fr. Jeżeli się zaś przeliczy i da więcej, niż może się spodziewać — płaci za ten brak bystrości. Tak przy kandydaturze Blaine'a zapłacił prezes komitetu republikańskiego, Jones, 600.000 fr., tak cztery lata temu upadek Clevelanda okupił demokrata Brice sumą 2,300.000 franków.

Skoro milionami trzeba okupywać prezesostwo w komitecie wyborczym, wydać się może rzeczą dziwną i nieprawdopodobną, że znajdują się kandydaci do tej godności, zwłaszcza, iż według tradycyi, taki prezes jest z góry wykluczony od wszystkich urzędów i władza jego trwa tylko przez czas kampanii wyborczej. Ale od czegoż są kapitaliści, rachujący nie na bezpośredni zysk, lecz na korzyści uboczne, nieraz stokroć większe. Wpływ i udział tych kapitalistów w życiu wyborczem Ameryki wzrasta ustawicznie. Jednemu zależy na wyborze kandydata protekcyonistowskiego, drugiemu na wolnym handlu, trzeciemu na zmianie taksy od patentów itd. Więc obliczają sobie, iż w razie sprowadzenia za pomocą wyborów tej lub owej zmiany, mogą tyle lub tyle zarobić i stosownie do tego ryzykują. Jestto interes i spekulacya tak dobra jak każda inna spekulacya, obliczona na ogromną skalę. Nic zatem dziwnego, że posiadacz 250-milionowej fortuny, Andrew Canergie, wręczył przy ostatnich wyborach Blainowi kilkanaście milionów na cele agitacyi wyborczej.

Ten wpływ wielkich kapitalistów na wybory i politykę Stanów Zjednoczonych jest stosunkowo nowym, bo też i milionerów przybyło dopiero w ciągu ostatnich lat 50-ciu. Jeszcze w roku 1847 wymieniano jednego tylko potentata, którego majątek przechodził 25 milionów; dziś jest takich przeszło 2000. Dwieście pięćdziesiąt rodzin posiada więcej niż po 100 milionów, a w tej liczbie jest jedna, której kapitał obliczają na okrągły miliard. Następująca tabelka, oparta na wykazach podatku dochodowego *[incometax]*, a zatem niewątpliwie niższa od rzeczywistości, przedstawia cyfry wielkich fortun amerykańskich w r. 1892:

osób					
250	wyżej 100 milj.,	tj. minimum		25	miliard.
500	od 50 do 100	„	„ „	25	„
1.000	od 25 do 50	„	„ „	25	„
2.500	od 12½ do 25	„	„ „	31	„
7.000	od 5 do 12½	„	„ „	35	„
20.000	od 2½ do 5	„	„ „	50	„
31.250				191	„

czyli 31.250 jednostek posiada minimum 191 miliardów, czyli 3/5 bogactwa narodowego, ocenionego mniej więcej na 310 miliardów franków.

Rzecz prosta, iż podobny stan rzeczy stanowi wielkie niebezpieczeństwo nie dla tego, by władza najwyższa była wypuszczaną przez licytacyę, lecz z powodu, że udział wielkich kapitałów w wyborach może stopniowo zrobić pieniądz głównym czynnikiem i na miejsce demokracyi robotniczej postawić oligarchię finansową. Już dzisiaj korupcya wyborcza rozwielmożniła się bardzo, a jeśli sama w sobie nie jest większą i bardziej bezwzględną, niż w innych krajach, natomiast odznacza się jedną specyalnością, które owe dobrowolne, a zupełnie usprawiedliwione składki na cele stronnictwa, zamienia niejako w przymus i podatek.

Od kiedy, w r. 1829, prezydent Jackson postawił jako zasadę, że łup należy do zwycięzców *[spoils to the victors]*, stało się zwyczajem, że stronnictwo, dochodzące do władzy, zmieniało ryczałtowo wszystkich urzędników, obsadzając posady swymi ludźmi. Stąd interesem tych urzędników było utrzymać swe stronnictwo i ich to pierwszych zrazu zapraszano, a później wprost zmuszano, potrącając z pensyi, do zapisywania się na listę składek wyborczych. Opozycya znowu osiągała ten sam skutek za pomocą obietnic, a że „nadzieja jest matką głupich,“ przeto niedawno *New York Herald* stwierdził, iż łatwiej jest napełnić kasy opozycyi, aniżeli stronnictwa rządzącego.

Natomiast rządowcy rozporządzają niezmiernie potężnym środkiem wyborczym w instytucyi kasy emerytalnej *United States Pension bureau*, stworzonej w r. 1861, celem wypłacania pensyi oficerom i żołnierzom, oraz ich wdowom i dzieciom poległych armii północnej, z czasów wojny secesyjnej. Z humanitarnej kasa ta zmieniła się w agitacyjną i zapomogi jej służą na wynagrodzenia usług wyborczych. To też rachunki tej kasy wyglądają oryginalnie. Podczas gdy od r. 1861 do 1864 pensye emerytalne wynosiły zaledwie 5 milionów rocznie, w r. 1864 podskoczyły na 20, w 1868 na 120, w r. 1881 — na 285, 1888 — na 400, w 1890 — na 500 a 1891 — na 600 milionów rocznie! I oto w 26 lat po owej wojnie, w której wszystkie armie Unii nie miały więcej, niż milion ludzi pod bronią, na liście kasy emerytalnej znajduje się 676.160 inwalidów, lub wdów po poległych! Przysłowiowy humbug amerykański dalej chyba nie sięga! Po prostu, kto się zasłużył podczas wyborów zwycięskiemu stronnictwu, a nie może dostać posady rządowej, idzie na listę emerytów z roku 1861.

Zebrane przez komitet centralny pieniądze służą przeważnie na rozmaite druki i okólniki, tudzież na zapomogi dla stanów wątpliwych, t. j. takich, w których się siły stronnictw równoważą i gdzie zatem zwycięstwo jest szczególnie trudnem. W bieżącej kampanii takim stanem właśnie był Illinois. Był też tam nakład największy. Nakład ten polegał na wysyłaniu specyalnych agentów i mówców, na opłacaniu kapeli, na sprawianiu mundurów dla straży ogniowej, na darach dla rozmaitych stowarzyszeń, ale szczególnie na kosztach przewozu, gdyż w czasie kampanii wyborczej, jak mówi przysłowie amerykańskie: „żaden z agitatorów politycznych nie chodzi piechotą.“ To też podczas ostatnich wyborów komitet republikański zapłacił przedsiębiorcy Davenport tylko za powozy dla swych agentów okrągłą sumę 600.000 franków.

W ogóle wszystko robi się *en gros*. Komitet nie wdaje się w szczegóły, godzi się z przedsiębiorcami, a ci dostarczają danego artykułu ryczałtowo. Nie ma zaś gałęzi, w którejby nie istniał wielki przedsiębiorca lub osobne Towarzystwa. Zamawia się więc w jednym domu agentów na całe wybory i do wszystkich stanów, dom ten posiada ich tysiące, szczwanych lisów, którzy tem rzemiosłem trudnią się oddawna i potrafią z równą gorliwością służyć demokratom i republikanom; inny dom podejmuje się urządzenia pochodów; inny znów druków i iluminacyj i t. d. Są takie potężne Towarzystwa, które obejmują cały zakres agitacyi wyborczej i równie sumiennie dostarczają mówców i „niecicieli zapału“, jak flag i afiszów. Jest cała kasta ludzi, jedynie żyjących z wyborów, którzy pracują nieustannie w swej specyalności, bo przecież nigdy wyborów nie brak, skończą się jedne, zaczynają drugie, stanowe, lokalne, gminne itd. Zręczność też swą i pomysłowość, posuwają oni do subtelnych granic, są nieraz wprost genialni, zwłaszcza, że te środki agitacyjne wymagają wielkiej rozmaitości i odpowiedniego stosowania. To, co może być dobrem dla New-Yorku, nie robi żadnego wrażenia w Pensylwanii, trzeba się więc nagiąć do usposobień i zwyczajów miejscowych, trzeba umieć oddziałać na wyobraźnię lokalną. Agent wszystko to zna na palcach, a co więcej, do takiej dochodzi wprawy, iż jego przewidywania stają się niemal stanowczemi, i jeśli on powie, że stronnictwo może w danym stanie liczyć na tyle a tyle głosów, to się omyi zaledwo o setki. Ten dar badania opinii i obliczania głosów z góry jest jedną z najpotężniejszych sił agitacyjnych, jedną z najbardziej popłatnych specyalności, pozwala bowiem komitetowi oryentować się i wysyłać w porę posiłki na zagrożone pozycye. Drugą specyalnością agitatorów jest dobór krótkich, a trafnych haseł. Jako wzór pod tym względem cytują pomysł jednego agenta republikańskiego, który w wilię wyborów oblepił wszystkie mury plakatami i rozrzucił między wyborcami milion kartek, na których były tylko te trzy wyrazy: *Rum, Romanism, Rebellion*, co miało oznaczać, że wybór demokraty sprowadzi: pijaństwo, katolicyzm i nową wojnę secesyjną. Republikanie przyznają, że trzy *R* dało im większość w stanach purytańskich.

Ale tak prowadzona agitacya kosztuje strasznie drogo. Na druki i marki pocztowe wydało stronnictwo demokratyczne pół miliona, na pochody, parady i dekoracye 1.300.000, na poparcia w czterech bardzo zagrożonych stanach 1.100.000, na powozy dla agitatorów i wyborców w dniu głosowania 600.000 i t. d. Ale zwykłego kupowania głosów nie ma, być nie może, bo ono jest bardzo surowo karane, a ukryć się nie może, bo agitatorowie przeciwnych obozów bardzo ściśle wzajemnie się kontrolują.

Ona do dziś jedyną pamiątką po Szkantach.

Odtąd w każdy nów walczy Chcao-bóg z Chucuan-bogiem i pokona go wtedy, gdy rodzaj ludzki wyginie.

Skończył starzec i w dogasający żar ogniska się wpatrzył. Cicho było wokoło, tylko psy wciąż ujadały. Aliagów spał, jako i wszyscy inni.

— Dziwna to, że psy tak szczekają, — mruknął starzec. — Pójdę a obaczę, ażali nie skrada się ku nam zjadliwy gad podobny do człowieka.

Poszedł i nie było go długo, alc pogrążony w myślach o podaniu, które przed chwilą słyszał, pan Władysław czasu nie liczył. Z zamyślenia zbudził go nagle krótki krzyk, potem łoskot padającego ciała i wściekłe psów rzucanie się i wycie.

Podniósł głowę, lecz z razu nic nie mógł widzieć w ciemności, słyszał jeno jakieś drapanie się po kamieniach i sapanie.

Zerwał się, żeby ludzi pobudzić, lecz w tejże chwili furknęło coś w powietrzu i poczuł pan Władysław, że arkan oplątał się wokoło jego szyi i dusi. Szarpnął się, silnemi rękami chwycił za ten arkan, lecz znowu coś furknęło — i drugi arkan oplątał mu nogi.

Runął pan Władysław na ziemię i zanim się podniósł, opadła go gromada dzikich zbójów, jak psy rozżarte opadają niedźwiedzia, który zaciekle się broni, miażdży, krwawi, tłoczy, rykiem napełniając knieję, ale wkońcu pada.

Tak po zaciętej walce, ledwie już dysząc, poddał się pan Władysław. Mgłą mu zachodziły oczy, ale jeszcze ujrzał nad sobą złą twarz Nachodki i głos jego posłyszał:

— Żyw? To dobrze. Bierzcie-że go a żwawo!

I więcej nic już nie słyszał i nie czuł.

Koniec tomu pierwszego.

KRONIKA.

Lwów 1 grudnia.

Konkurs. Redakcya *Przeglądu* ogłasza niniejszem konkurs na napisanie najlepszej kolendy, na tle narodowem, na nutę: „Hej kolenda, kolenda“. Kolenda ma zawierać najwyżej 10 zwrotek. Termin nadsyłania rękopisów naznacza się na dzień 20go grudnia r. b. Jako pierwszą nagrodę, za najlepszy utwor tego rodzaju, otrzyma laureat „Album Mickiewiczowski“ z 60 illustracyami; drugą nagrodę stanowić będzie: „Konrad Wallenrod“ Mickiewicza, z illustracyami Kossaka.

Utwory nagrodzone będą drukowane w *Przeglądzie*.

Wenta gospodarska. Otrzymujemy następujące pismo: Wentę gospodarską na „Dom pracy“ zamierzam urządzić w sali „Sokoła“ dnia 21go grudnia. Ośmielam się polecić ją gorąco łaskawym względom dobroczynnych osób.

Zwierzyna, drób, ryby, masło, ser, wszystko wchodzi w zakres wenty gospodarskiej i każdy dar najmniejszy w imieniu ubogich z serdeczną wdzięcznością przyjętym zostanie. — Dary odbierane będą w pałacu Namiestnikowskim między 15 a 18 bm.

Marya Badeniowa.

Mianowania. Sąd krajowy wyższy w Krakowie zamianował praktykantów sądowych: Stanisława Gabryszewskiego i Wiktora Ramerta auskultantami sądowymi dla swego okręgu.

Przeniesienia. Minister spraw wewnętrznych przeniósł starostę Karola Kolarzowskiego z Brzeżan do Lwowa, poruczając mu kierownictwo lwowskiego starostwa, oraz starostów: Tadeusza Czarkowskiego-Golejewskiego ze Lwowa do Nowego-Targu, Władysława Marynowskiego z Ropczyc do Łańcuta, Jana Orobkiewicza z Nowego Targu do Brzeżan, Jerzego Piwockiego z Trembowli do Białej.

Odznaczenie. Adolf Rutka, wójt ze Strusowa, otrzymał złoty krzyż zasługi.

Z Uniwersytetu. P. Andrzej Głogoczowski, rodem z Głogoczowa w Galicyi, otrzymał na Uniwersytecie Jagiellońskim stopień doktora praw.

Z Towarzystwa prawniczego lwowskiego. W piątek dnia 2 grudnia rb. o godzinie 7 wieczór pogadanka. P. Lewandowski referować będzie: „O środkach zaradczych przeciw przewlekaniu egzekucyi realnych“.

Do centralnej komisyi przemysłowej na peryod czteroletni, wybrano między innymi: księcia J. Czartoryskiego, hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego, dra Ferdynanda Weigla i dra Józefa Wereszczyńskiego.

W kościele XX. Zmartwychwstańców, przy ulicy Piekarskiej, w drugą, trzecią i czwartą niedzielę adwentu, oraz w dzień święta Matki Boskiej Niep. Pocz., o godzinie 4 po południu, będzie kazał ks. prałat Jan Gnatowski.

P. Karol Żółkiewski, urzędnik rachunkowy Wydziału krajowego, przeniesiony w stan spoczynku na własne żądanie po długoletniej wytrwałej służbie, doświadczył miłej niespodzianki. Wszyscy urzędnicy tego oddziału, w którym p. Żółkiewski pracował, z swym szefem na czele, składali mu dziś gratulacye i życzenia na dowód sympatyi, jaką go wszyscy otaczają.

Sprawozdanie lwowskiej komisyi Towarzystwa Opieki nad weteranami polskimi z r. 1831 za miesiąc listopad rb.

Dochody. Rada zawiadowcza galicyjsk. Banku kredytowego 100 złr., Artur hr. Gołuchowski 50, Ludwik Dolański z Rakowy za 1893 rok 20, urzędnicy techniczni Wydziału krajowego za listopad 5·50, Aleksander Strzelecki 3, Skałkowska Jadwiga (zebrane w gronie rodziny na zabawie) 6, inżynier Kuczkowski 2, „Gwiazda“ lwowska (zebrano na wieczorku listopadowym) 15·90, Towarzystwo teatru amatorskiego w Kreśnie (połowa czystego dochodu z przedstawienia) 31, młodzież polska w Drohobyczu (zebrane na urządzonem tam nabożeństwie żałobnem) 18, przez redakcyę *Kuryera Polskiego* 4, — ogółem wpłynęło 255 złr. 40 cnt.

W miesiącu listopadzie rozdano 32 weteranom zapomogi stałe i datki nadzwyczajne na zimę w kwocie 408 złr.

Dr. Bernard Goldman, skarbnik.

Wiec katolicki w Krakowie. Hr. Andrzej Potocki przyjął przewodnictwo w komitecie zajmującym się sprawą wiecu katolickiego w Krakowie i zwołał posiedzenie komitetu na niedzielę dnia 4go grudnia o godzinie 6 wieczorem w kancelaryi adwokata dra Markiewicza.

Tow. gimnastyczne „Sokół“, zawiązało się w Brzeżanach. Prezesem wybrano jednogłośnie dra Grzegorczyka, zastępcą jego p. Turskiego. Towarzystwo to liczy już przeszło 60 członków.

Katedra talmudu otwartą została na Uniwersytecie w Chicago. Objął ją rabin chicagoski doktor Hirsch.

Cholera. W Husiatynie, Olchowczyku i Szydłowcach w ciągu ostatnich dwóch dni nikt nie zachorował wśród objawów podejrzanych. Natomiast w Bodnarówce zachorowała onegdaj po południu 29-letnia Marya Iwanów, wśród objawów każących przypuszczać cholerę. Innych wypadków zasłabnięcia lub śmierci nie było.

W Kasynie miejskiem odbędzie się dnia 5go grudnia wieczorek św. Mikołaja dla dzieci. — Lista otwarta w piątek wieczorem; wstęp dla obcych stanowczo wykluczony.

Każde dziecko opłaca 50 cnt. za co dostanie los wygrywający fant; można również dać fant własny, opakowany, na którym imię i nazwisko właściciela wyraźnie ma być wypisane.

Z Mostów donoszą. Bułyński wójt, Mikołaj Muzyka odsiedział niedawno trzy dni za pijaństwo, a należy mu się jeszcze siedm dni aresztu. W obec tego spodziewają się, że Wydział żółkiewskiej Rady powiatowej usunie go z urzędu.

Morderstwo. W Czyżycach, koło Wybranówki, wydarzył się w niedzielę 27 z. m. taki wypadek. Jeden z tamtejszych gospodarzy Naum Zastawny, powróciwszy pijany do domu, zażądał od żony, aby mu ugotowała kiełbasy. Ponieważ to był pierwszy dzień postu, a zresztą kiełbasy w domu nie było, żona nie mogła zaspokoić jego życzenia. Pijak wpadłszy wskutek tego w gniew, począł żonę tak bić, że aż sąsiedzi wdać się musieli i wyrzucili Nauma za drzwi na dwór. Wyrzucony Naum jak upadł przed chatą, tak usnął. Wtedy teść jego Jack Tarnawski, któremu pijak dojadł już do żywego, uderzył go w głowę pięć razy tak silnie, że aż mózg wypłynął. Tarnawskiego uwięziono i odstawiono do Bóbrki, a zięć jego żyje jeszcze, ale rany są tak ciężkie, że chyba nie długo jeszcze pociągnie.

Ze Zbaraża piszą nam: Onegdaj odbyło się u nas w kościele OO. Bernardynów uroczyste żałobne nabożeństwo za spokój duszy bohaterów poległych w walce o niepodległość w roku 1831. Na środku kościoła ustawiono wspaniały katafalk, pięknie przybrany i rzęsiście oświecony. Nawę kościoła wypełnił szczelnie lud i prawie cała inteligencya zbaraska.

W nabożeństwie wzięli także udział księża ruscy i odśpiewali przy katafalku swe prześliczne egzekwie. Na zgromadzonych w świątyni, zrobiło to wielkie wrażenie.

Cześć tym, którzy przyczynili się do urządzenia tej wzniosłej uroczystości!

Ze Stryja donoszą nam. Za staraniem Wydziału „Sokoła“ i „Gwiazdy“ odbyło się u nas nabożeństwo żałobne za poległych w walce o wolność Narodu w 31 roku.

Katafalk udekorowano pięknie kwiatami, u szczytu wznosił się herb Polski, ozdobiony wspaniałym wieńcem z szarfą. Nie brakło także emblematów wojennych. Pod czas mszy śpiewała solo p. Belkowska z towarzyszeniem organu „Ave Maria“ Gounoda. Kościół był przepełnionym publicznością, która po odśpiewaniu „Boże coś Polskę“ i „Z dymem pożarów“ opuściła mury świątyni w poważnym nastroju.

Wieczorem w lokalu kasyna ruskiego odbył się wieczorek muzyczno wokalny, pod artystycznem kierownictwem pana Lewińskiego z współudziałem miejscowych druhów sokolich. Przemówienie wygłosił kupiec tutejszy i „Sokół“ p. Kosterkiewicz, poczem nastąpiły produkcye muzyczne. P. Reder odegrał na skrzypkach Wieniawskiego mazurek koncertowy i Beri ta Fantazyę. Chór „Sokoła“ odśpiewał zachwycającą Dumkę“ Moniuszki i „Marsz żuawów“. W części deklamacyjnej wygłosiła p. Długoszówna piękny poemat Kornela Ujejskiego „Noc natchnienia“, zaś Dr. Malewski oddeklamował wiersz Niemojowskiego „Branka“. Odczyt p. Starkiewicza, o powstaniu Listopadowem, opracowany starannie, wywarł na publiczności głębokie wrażenie.

Niemałe zainteresowanie obudziła pomiędzy inteligencyą stryjską, a osobliwie w gronie naszych melomanów kompozycya p. Lewińskiego na kwartet smyczkowy ze współudziałem fortepianu pod tytułem „Polka Sokołom“. Kompozycyę tę naszego muzyka odegrali koncertowo pp. Gerus, Reder, Kuczyński i sam p. Lewiński. Oklaskom nie było końca; po kilkakrotnem wywołaniu kompozytora publiczność opuściła salę.

Dodać muszę, że najliczniej na wieczorku reprezentowany był nasz „Sokół“, którego dziarscy przedstawiciele wystąpili w mundurach, a już nie przemilczę i tego, że szmer podziwienia wywołało grono „Sokolic“, które w prześlicznych białych konfederatkach pojawiły się na sali. *Emil Hołod.*

W ręce żydowskie. Jak z bohorodczańskiego donoszą, hr. Józef Stadion, syn byłego namiestnika Galicyi hr. Rudolfa Stadiona, wydzierżawił swój majorat: Bohorodczany, Lachowce, Grocholinę, Grabowice i inne pomniejsze folwarki, na lat 10 żydom Kannerowi i Munczekowi po cenie 5 złr. za morg. Dotychczas majątek ten był w zarządzie Czechów, którzy zaprowadzili tam wzorową gospodarkę, dobry inwentarz, a co najważniejsza dawali zarobek okolicznym włościanom. A nowi dzierżawcy już teraz od zimy odprawili ze służby kilkudziesięciu parobków żonatych i na ich miejsce wzięli bezżennych chłopów, bo ci poprzestali na mniejszej płacy. Pozbawieni służby znajdują się w opłakanem położeniu.

Hr. Stadion sprzedał też żydom za bezcen śliczne swe bydło i kilka tysięcy owiec merynosów, tak że kwitnące za Czechów folwarki, świecą obecnie pustkami.

Wyjaśnienie. Przed kilku dniami zamieściliśmy w *Przeglądzie* korespondencyę jednego z naszych obywateli, który uskarża się między innemi, że udał się pisemnie do zakładu w Drohowyżu z prośbą o nadesłanie mu cennika wyrobów drohowyzkich, lecz nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Wiadomość ta, zamieszczona w naszem piśmie, wywołała dochodzenie ze strony kuratoryi fundacyi skarbkowskiej i okazało się, że list ów zaginął na poczcie, a zarząd dowiedziawszy się dopiero z dochodzenia o żądaniu owego obywatela, posłał mu natychmiast swoje cenniki. Z przyjemnością więc konstatujemy, że z tego powodu na Zakładzie drohowyzkim żadna wina nie ciąży.

Fałszywe pieniądze. W Krakowie pojawiły się fałszywe guldeny srebrne.

Denuncyant Hendiger zgłosił się onegdaj rano do prezesa krakowskiego sądu karnego p. Brasona i ustnie wniósł zażalenie przeciw zbyt surowemu wymiarowi kary.

Wiadomości dyecezyalne. Dyecezya krakowska: Ks. kardynał Dunajewski instalował w niedzielę dnia 27 z. m. ks. Szczeniowskiego na probostwo w Wieliczce. Ks. M. Grodziński otrzymał prezentę na probostwo w Koszarawie, a ks. J. Kwieciński na probostwo w Rabie wyższej. Ks. Franciszek Sikora, wikaryusz z Oświęcima, instalowany został na probostwo w Krzeszowie. Przeniesieni: Ks. St. Niziołek z Krzeszowa do Czernichowa jako wikaryusz, ks. Jelonek z Jaworznia do Czernichowa jako katecheta szkoły rolniczej, ks. F. Włodarczyk z Czernichowa do Trzebini, ks. J. Skorzyński z Raciborowic do Jaworznia, ks. W. Biedroń z Niegowici na administratora *in spiritualibus* do Raciborowic, ks. F. Krupnik z Wieliczki do Oświęcima, ks. F. Hortyński z Pobiedra do Wieliczki, a ks. J. Małoga z Osielca do Pobiedra.

Podziękowanie. Niniejszem składam podziękowanie hr. Stanisławom Siemieńskim z Pawłosiowa za ofiarę 100 złr. na statuę N. Serca P. Jezusa, do nowo budującego się gotyckiego wielkiego ołtarza w naszym kościele. Siostra M. Jadwiga *Jurkiewicz*, przełożona klasztoru PP. Franciszkanek w Zakliczynie nad Dunajcem.

Lwowskie Towarzystwo ratunkowe. W lokalu dotychczasowej inspekcyi lekarskiej w ratuszu odbyło się onegdaj zebranie lekarzy, zakładających stacyę ratunkową. Przyjęto na niem statut przedłożony przez Wydział, rozszerzono jednak zarazem zakres działalności przyszłej stacyi ratunkowej i postanowiono utworzyć z niej „Lwowskie Tow. ratunkowe“ na wzór podobnych Towarzystw istniejących już w Wiedniu Pradze i Krakowie. Dr. Stroynowski odczytał odpowiedź, którą otrzymał na list wysłany do dra hr. Mundy'ego, sekretarza wiedeńskiego Tow. ratunkowego. Owóż dr. Mundy przyrzekł udzielić pisemnie wszelkich wskazówek co do założenia stacyi we Lwowie i zaopatrzyć ją w najpotrzebniejsze przybory ratunkowe, a nadto obiecał przyjechać do Lwowa i urządzić stacyę według najnowszych doświadczeń i wymagań. Mamy nadzieję więc, iż wobec tylu ułatwień, ta piękna i pożyteczna instytucya wkrótce wejdzie w życie.

Kradzież w magazynach kolejowych. Na dworcu głównym we Lwowie istnieje magazyn, w którym bywają przechowywane rzeczy zapomniane przez podróżnych w wagonach lub na stacyach kolejowych. Rzeczy te przechowują się zwykle przez trzy miesiące, poczem, jeśli nikt po nie się nie zgłosi, bywają sprzedawane na publicznej licytacyi. W tych dniach odkryto w takim magazynie we Lwowie znaczną kradzież, której się dopuścili dwaj funkcyonaryusze: asystent manipulacyjny i konduktor. Przeprowadzone dochodzenia wykazały, iż mieniali oni zapomniane lepsze rzeczy na gorsze, a następnie, gdy im i to już nie wystarczało, otwierali za pomocą dobranego klucza magazyn i wynosili co się tylko dało. Obu złoczyńców oddano w ręce sprawiedliwości.

Zamach morderczy. Marcin Grzywniak, robotnik 30 lat liczący, usiłował wczoraj o godzinie 6 wieczorem na drodze za rogatką Żółkiewską zamordować swą żonę, liczącą lat 24. Zadał on jej nożem dwie rany, jedną z tyłu w szyję, drugą zaś w lewą pierś. Rany są głębokie i śmiertelne. Lekarze nie mają nadziei utrzymania Grzywniakowej przy życiu. Męża jej natychmiast aresztowano. Przesłuchany na inspekcyi policyjnej przyznał się on, iż już od dawna nosił się z myślą „skaleczenia“ swej żony, która mu była niewierną i żyć z nim nie chciała. Zbrodniarza wydano w ręce sądu, żonę jego zaś odstawiono do głównego szpitala.

O napadzie na księdza A. Zawadzkiego w Pistyniu donoszą ztamtąd do *Posłannyka* co następuje:

Ks. Zawadzki padł ofiarą swego zawodu. Dnia 13 listopada w nocy powracał on z odpustu od ks. dziekana Tymiaka z Szeszor. Przodem jechał na swym wózku pocztmistrz pistyński p. Nitmann, za nim zaś także na swym wózku ks. Zawadzki. W Pistyniu przed samą pocztą jacyś ludzie zatrzymali wózek p. Nitmana, ale poznawszy go po głosie, puścili go, mówiąc: „Puszczaj, to nasz pocztmistrz.“ — W kilka chwil potem nadjechał ks. Zawadzki. Zatrzymano go również. Zdziwiony tem zlazł z wózka i zapytał czy to warta go zatrzymuje. Nagle jednak w odpowiedź na swe zapytanie otrzymał z tyłu tak silne uderzenie kołem w głowę, iż nieprzytomny upadł na ziemię. Po pewnym czasie przyszedłszy do siebie, powstał i zawlókł się na pocztę. Złoczyńcę uwięziono i oddano w ręce sądu.

W dalszym ciągu korespondent *Posłannyka* twierdzi stanowczo, iż napad ten był zemstą za to, że ks. Zawadzki w Pistyniu podczas uroczystości św. Dymitra miał kazanie o „zgubnych zasadach radykałów i bezcelowem ich włóczeniu się po wiecach.“ Dowodzi tego także odezwanie się jednego włościanina pistyńskiego, niejakiego Iwana Atamaniuka. Zapytany przez żandarma, czy wie dlaczego napadnięto na księdza, odparł: „To mu się należało za to, że mówił przeciw wiecowi.“

Pijaństwo kobiet w Anglii. Z Londynu piszą: Zdarzył się tu wypadek, który rzucił dość komicznie sporo światła na palącą kwestyę „narodowej hańby“.

Kilka tygodni temu dzienniki zamieściły urzędową notę, przestrzegającą cukierników przed sprowadzaniem z zagranicy czekoladek kremowych. Publiczność nie umiała sobie wytłumaczyć tej przestrogi, redakcye zostały zasypane interpelacyami. Władze nakoniec oświadczyły, że przywóz czekoladek kremowych z zagranicy ulegać ma na przyszłość ścisłej kontroli, ponieważ urzędy celne odkryły w tych słodyczach... alkohol w takim stosunku do cukru, że i do tego towaru wypada zastosować wysokie cło, opłacane od wprowadzanego do Anglii alkoholu.

Onegdaj przed bramą jednego z największych klubów na Picadylli, zatrzymał się powóz, wysiadł z niego podstarzały jegomość, uścisnął rękę pozosta-

lej w powozie swej jejmości, kazał lokajowi odwieźć panią na Bondstreet i wszedł do klubu. Pani odjechała. W półtrzeciej godziny później zajechał próżny powóz przed klub, lokaj wyskoczył i zaczął szukać swego pana, a znalazłszy odwiózł go, co konie wyskoczyć mogły, do... policyi Zastał tam podstarzały jegomość inspektora policyjnego przy biurku oraz dwóch konstablów i policyjną dozorczynię usiłujących uspokoić jakąś strasznie rozdrażnioną i szlochającą damę. Z osłupieniem poznał jegomość w damie swoją żonę? Cóż zbroiła? za cóż się tu dostała?

Inspektor odczytał protokół: Jeden z obecnych konstablów zeznaje, że przechodząc mimo pewnego handlu cukrów i delikatesów na Bond street, widział wychodzącą oskarżoną... w stanie gwałtownej niepoczytalności. Chcąc ją uspokoić, zbliżył się do niej stróż porządku i bezpieczeństwa, wtedy oskarżona, okładając go parasolem, rozkazała mu sprowadzić jej powóz, bo — było jej śpieszno na *five o'clock* do księżnej Walii. Policyant nie uwierzył, za powozem nie pobiegł, a gdy w ciżbie zbiegowiska dama stawała się coraz natarczywszą i co chwilę padała na bruk, zaaresztował ją za to, że była wielce nietrzeźwą na drodze publicznej, niepo rządną w zachowaniu się i nieposłuszną władzy. Wsiadł z nią do *cab'u* i odjechał na policyę. Tyle konstabl.

Dama zaś ze swojej strony zeznaje, że po rozstaniu się z mężem odjechała do swej szwaczki, obstalowała tam kilka tualet, potem zeszła na ulicę, kazała lokajowi i stangretowi czekać, a sama przeszła na drugą stronę ulicy do magazynu kapeluszy. „Załatwiwszy się tam — opowiada oskarżona — poszłam kupić cukrów; magazynu nie pamiętam, było to gdzieś na Boudstreet; w magazynie, będąc głodną, jadłam czekoladki kremowe, zaraz po nich słabo mi się zrobiło. Niegodziwy policyant, zamiast sprowadzić mi powóz, zachował się po grubiańsku — zirytowało mnie to, itd.“

Mąż, złożywszy kaucyę, odwiózł żonę do domu. Ale sprawa ta, jak każda inna z policyi, szczegółowo została opisana w dziennikach — i wywołała ogromne oburzenie wszystkich cukierników z Bondstreet i okolicy. Uwiadomili oni prasę, że ani sprzedają czekoladek z alkoholem, ani nikt u nich nie spożywał w sobotę czekoladek, aniby nawet kilka funtów tego delikatesu nie spowodowało nietrzeźwości u nikogo. Wszyscy zaś ratując swą własną reputacyę, radzą policyi odbyć rewizyę salonów szwaczek i magazynów kapeluszy damskich, gdzie, jak twierdzą, istnieją prawdziwe, a nieopodatkowane knajpy, dla wytwornych klientek.

Z oskarżeń tych ogólnych wywiązuje się cała serya procesów o oszczerstwo.

Gimnazyum polskie w Cieszynie. W sprawie tej *Gwiazdka cieszyńska* pisze co następuje:

„Gazety niemieckie i polskie donoszą z Wiednia, że za wstawieniem się Koła polskiego u rządu, w seminaryum nauczycielskiem w Cieszynie ma być otwarty kurs przygotowawczy z językiem wykładowym polskim. Oprócz tego wykładać się ma rolnictwo w języku polskim; a nauka języka polskiego zaprowadzoną ma być jako obowiązkowy przedmiot we wszystkich latach seminaryum.

Dla ucha bardzo to piękne, ale w rzeczywistości nie ma to wielkiego znaczenia, ponieważ Rada szkolna krajowa i Rady szkolne powiatowe składać się będą i nadal z większości zwolenników germanizacyi. Kto zna stosunki na Szląsku, przyzna nam słuszność.

My — oprócz powyższego ustępstwa — żądamy polskiego gimnazyum, z któregoby wychodzila polska inteligencya. Tej nam na Szląsku brak. Mając inteligencyę, pokonamy łatwo inne trudności, chociażby nawet nie wiemy jak wielkie były. Zaraz do pierwszej klasy wstąpiłoby z pewnością ośmdziesięciu szląskich studentów, a tak już po upływie lat kilku mielibyśmy inteligencyę swojską.

Udajemy się do Koła polskiego w Wiedniu z prośbą, żeby zechciało wyjednać nam u rządu polskie gimnazyum, a zarazem upraszamy, żeby wszystkie polskie gazety jednozgodnie poparły życzenia Polaków szląskich. Ustępstwa powyżej wymienione nie zdołają nas zadowolnić, nie nasycą nas okruszyny, my wołamy o kromkę chleba przynajmniej, wiedząc, że bochenka nie dostaniemy“.

Stan powietrza. Termometr + 1 Reaum. Barometr 765. Idzie w górę. Dzień bardzo pogodny i przyjemny.

Z księgi fraszek.

Zapytano raz mędrca: na co mądrość cała,
Gdy ona mu ni zbytków, ni złota nie dała?...
— Owszem, mędrzec odrzecze: — toć zdała się [przecie,
Ucząc, jak się bez głupstw tych obchodzić na [świecie...

Myśli.

— Szczęście zbliża się do nas jak żółw, a ucieka od nas jak gazela.

— Dziećmi bogactwa są skąpstwo i arogancya.

Teatr. Dziś we czwartek (dnia 1go grudnia) w teatrze hr. Skarbka o godzinie 7mej wieczorem: Po raz pierwszy w tym sezonie „Halka“, opera w 4 aktach Moniuszki. Występ pp.: Aleksandra Myszugi, Jeromina i Bernhardta. — Jutro w piątek „Nasze anioły“, komedya w 3 aktach Michała Wołowskiego.

Rozmaitości.

— Śmierć wśród lodów. Przed pięciu laty w miesiącu wrześniu, z portu Charlestown w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej, wypłynął do Europy z ładunkiem skór żaglowiec „Rozbójnik“, mając na pokładzie ośmnastu ludzi osady, pod wodzą doświadczonego „wilka morskiego“, kapitana Johna Harrysona, który już niejednokrotnie odbywał podobne podróże na „Rozbójniku“. Statek ten, stosunkowo nie wielki, ale nadzwyczaj silnie zbudowany, z łatwością stawiał czoło burzom i nawalnicom. Zdawało się więc, że mimo peryodycznie panujących wichrów, w czasie wyjścia „Rozbójnika“ na pełne morze, pod sterem zdolnego kapitana nic mu zagrażać nie może. Mimo to, przezorni właściciele nie zaniedbali tak okrętu, jak i ładunku dość wysoko zabezpieczyć w jednem z Towarzystw asekuracyjnych. Gdy statek w oznaczonym terminie nie przybył do miejsca swego przeznaczenia, jakoteż gdy zostało stwierdzonem, że żaglowiec ów napróżno wzywał pomocy w czasie silnej burzy od parowca hamburskiego Lloyda „Orzeł północny“, który z powodów szalonego wichru nie mógł udzielić żadnego ratunku wzywającym go, nabrano przekonania, że „Rozbójnik“ wraz z załogą i ładunkiem utonął, to Towarzystwo asekuracyjne wypłaciło właścicielom premię. Tymczasem w miesiącu sierpniu r. b. do portu newyorskiego zawinął statek wielorybowy „Arabella“ którego kapitan i załoga złożyli zaprzysiężone zeznanie, jakoby w czasie pogoni za wielorybami zapędzili się aż pod 68 stopień szerokości północnej i gdy się znajdowali na wysokości Przylądka św. Rocha, będąc oddaleni od Grenlandyi o cztery dni drogi, napotkali pomiędzy licznemi pływającemi górami lodowemi, sparty olbrzymiemi krami niezwykłej grubości statek, pozbawiony masztu tylnego, steru i żagli. Na pokładzie jego nie zauważono zupełnie ludzi. Był on pokryty cały grubą warstwą lodową. Gdy dostano się wewnątrz statku, w kajucie znaleziono literalnie zamrożonych siedm ciał ludzkich. Należały one do nieszczęśliwej osady „Rozbójnika“, którego nazwisko widniało jeszcze wypisane na przodzie okrętu. Z dziennika kapitana „Rozbójnika“, który osada „Arabelli“ wzięła z sobą, dowiedziano się, że burza zapędziła go w te niegościnne strony i że piętrzące się naokoło lody tak sparły go, że w żaden sposób z miejsca poruszyć się nie mógł. Napróżno jednak załoga jego próbowała się wydostać z tego zaklętego koła, urządzając wycieczki w okolice na jedynej łodzi, jaka im pozostała. W czasie jednej z nich łódź ta z sześciu ludźmi została zasypaną przez lodowiec. Jedyna więc nadzieja ratunku zniknęła. Pozostali majtkowie przez półtora roku żywili się zapasami, jakie były na okręcie, oczekując, co chwila rozstrzaskania przez lody swej skołatanej nawy. Gdy zabrakło zapasów, żuto skóry — to jednakże tylko przewlekało chwile konania z głodu. W ostatnich czasach nie mieli biedacy już siły do rozniecenia ognia i to spowodowało a raczej przyspieszyło śmierć tych nieszczęśliwych. Podług raportu kapitana „Arabelli“ nie można w żaden sposób wydostać „Rozbójnika“ z pośród otaczających go lodów.

— Śmierć w życiu i na scenie. Nieraz zapewne i niejeden z naszych czytelników zwrócił uwagę na to, jak łatwo zabić na scenie bohatera lub bohaterkę dramatu, wbrew wszelkim prawom boskim i ludzkim, a raczej przez naukę ludzką zbadanym.

W samej rzeczy pisarze dramatyczni nie zadają sobie z ludźmi kłopotu. W wielu dramatach i romansach umierają bohaterowie od zatrutych kwiatów lub listów gwałtowną nasyconych trucizną. Nauka jednak oświadcza stanowczo, że od czasów Adama i Ewy aż do naszej epoki żadna trucizna nie działała w sposób tak fantastyczny. Są trucizny, które w stanie lotnym przedstawiają bardzo wielkie niebezpieczeństwo dla życia, ale nie można niemi uśmiercać ludzi bez ich wiedzy. Najniebezpieczniejszym pono jest kwas pruski, który swemu wynalazcy śmierć zadał; truciznę jednak tę o kilka kroków powonienie odczuwa.

Gothe i Schiller niejednokrotnie wchodzą w kolizyę z podstawowemi artykułami pierwszego lepszego podręcznika chemii, a już Szekspir całkowicie lekceważy naukę i jej prawa. Morduje on na prawo i na lewo, nie wiadomo czem i jak. Niechże naprzykład najbieglejszy chemik orzecze, jaki był skład napoju, który o sen letargiczny przyprawił poetyczną kochankę Romea.

W „Adriennie Lecouvreur“ bohaterka dramatu wyjmuje ze szklanki bukiet, tuli go do ust i ginie w strasznych męczarniach. — W sztuce „Pan i pani Hipokrates“ autor każe młodziutkiej dziewczynce wziąć do ust łyżkę mięszaniny, złożonej z kwasu karbolowego i arniki, a potem wypowiadać bardzo pięknie brzmiące tyrady. Mięszanina ta sprawia straszliwe rany, więc po wzięciu jej do ust nie chciałoby się nikomu perorować nawet w najtragiczniejszych sytuacyach.

Zbyt długi byłby wykaz błędów, które popełniają dramaturgowie i powieściopisarze, gdy uśmiercają swych bohaterów. Między innemi podobało się komuś zaopiniować, że dawniej znano więcej trucizn niż obecnie. Twierdzenie to jest bezpodstawne. Trucicieli znały może wieki średnie więcej niż obecne, ale każdy aptekarz prowincyonalny zna dziś więcej trucizn niż najbieglejszy alchemik średniowieczny.

W wiekach średnich niepoślednią wziętością cieszyło się dzieło opata Rhubanusa Maurusa z Fuldy. Nosi ono tytuł ogólny „De Universo“, a składa się z 22 rozdziałów. Przytoczmy kilka cytat: „Wszelkie choroby pochodzą od czterech płynów, zawartych w ciele ludzkiem: krwi, cholery, melancholii i flegmy. Z chwilą, gdy jeden z tych płynów uzyskuje w ciele przewagę, choroba gotowa“. „Kozioł skalny jest zwierzęciem gwałtownem. Ma on tak szaloną naturę, że krew jego rozpuszcza w sobie nawet dyament, który skutecznie opiera się działaniu ognia i żelaza“. „Salamandra największą obdarzona jest siłą niszczącą, z pomiędzy zwierząt trujących. Dosyć jest, aby wpełzła na drzewo, a zaraża wszystkie kwiaty i owoce, tak, iż te ostatnie są straszliwą dla ludzi trucizną. Pijący wodę ze studni, w której przebywała salamandra, umierają bezzwłocznie. Zwierzę to opiera się działaniu ognia, w płomieniach nie czuje bólu, a nawet gasi go z łatwością“. „Sól, *sal*, pochodzi z wody morskiej, a zbierana bywa na wybrzeżach wód wielkich. Pozostawiona w stanie skrystalizowanym na noc, rośnie od promieni księżycowych“. Cytaty powyższe dają miarę, jakiemi prawdami przepełniony jest i rozdział o truciznach w dziele opata Rhabanusa Maurusa.

Najtajemniej działa na organizmy arszenik i sublimat, trucizny te bowiem nie mają odrażającego smaku, ani zapachu. Wszystkie zaś inne środki trujące: atropina, strychnina, a nawet morfina odznaczają się smakiem tak gorzkim, iż niepostrzeżenie podane być nikomu nie mogą.

Oprócz wspomnianego już kwasu pruskiego, najbardziej niszczący wpływ na ludzi wywierają wyziewy arszeniku. Historya podaje wypadek, jaki się zdarzył cesarzowi niemieckiemu, Leopoldowi I-mu. Monarcha ten zaczął nagle z sił opadać, a żaden z lekarzy przybocznych nie był w stanie wskazać przyczyny choroby. W roku 1700-ym wreszcie zwrócił się cesarz do słynnego chemika, Franciszka Borri, który po długich poszukiwaniach doszedł, iż powietrze w pałacu cesarskim zatrute jest produktami, powstałemi z palenia świec woskowych. Analiza dowiodła, iż w samej rzeczy świece owe zawierały arszenik w tak znacznej ilości, iż na 30 funtów świec przypadały 3 funty arszeniku. Ilość ogromna, boć 0,06 gramów tej trucizny wystarcza do zabicia człowieka. Kazał cesarz pojmać dostawcę świec i osadzić go w więzieniu, gdy ten jednak po niejakim czasie znikł z kaźni bez śladu, zarzucono na przyczyny usiłowania otrucia zasłonę, tak, iż tylko sam fakt przeszedł do historyi.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 29 listopada.

(*Z*). Odporność naszej giełdy na komplikacye polityczne jest zdumiewającą. Pomimo przesilenia w austryackim parlamencie i pomimo upadku gabinetu francuskiego nie było u nas prawie żadnej zniżki. Zmniejszyły się tylko rozmiary obrotów, kursa jednak trzymały się wytrwale i tylko tu i ówdzie nieznacznie się cofnęły. Renty n. p., na które każde przesilenie parlamentarne zwykle tak dotkliwie oddziaływa, spadły zaledwie o $^1/_{10}$ prct.

Na targu papierów bankowych i przemysłowych była co prawda stagnacya, mimo to jednak napróżno siliła się kontrmina wywołać w nich baissę. Żwawy ruch panował w akcyach kopalni węgla, a to z powodu nastania mrozów i zwiększonej przez to konsumcyi węgla. — Także Statsbahny cieszyły się wielkim popytem, gdyż obiegała pogłoska, że rząd węgierski zamierza zakupić dobra ziemskie i zakłady przemysłowe tego towarzystwa, leżące w Węgrzech i że polecił już oszacować je. Nasz targ był dzisiaj punktem oparcia dla berlińskiej giełdy, która z początku zaczęła niepokoić się upadkiem gabinetu Loubeta, później jednak, widząc, że nasza giełda nie bierze tego wypadku na seryo, odzyskała napowrót silną tendencyę. — Podniętę pewną dla naszego targu stanowi okoliczność, że za dwa dni zacznie napływać gotówka za kupon grudniowy. Kupon ten przyniesie ogółem 13·6 milionów reńskich, z tego 12½ miliona na oprocentowanie a 1·1 miliona na amortyzacyę kapitału.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 315·75, węgierskie 364·—, Anglobanki 150·75, Uniony 237·—, Bankvereiny 114·50, Länderbanki 225·40, Ludwiki 216·50, Czerniowieckie 245·—, Renta papierowa 97·85, srebrna 97·65, austryacka złota 115·45, papierowa 100·45, węgierska złota 113·45, papierowa 100·45, dukat 5·65, 20-frankówka 9·56—, marki 11·76—, ruble 1·17½.

Telegramy „Przeglądu“.

Wiedeń 1 grudnia. *Poseł Alfons Czaykowski umarł.*

Wiedeń 1 grudnia (pryw.). Przez cały dzień wczorajszy trwały rokowania rządu z lewicą. Do rezultatu jeszcze nie doprowadziły, stąd też ani dymisya Kuenburga nie została dotąd przez rząd przyjęta, ani członkowie lewicy, mający rozmaite referaty w komisyach nie złożyli ich dotąd.

Wiedeń 1 grudnia. Izba posłów przyjęła na wczorajszem posiedzeniu wszystkie rubryki budżetu „Rada ministrów“ z wyłączeniem funduszu dyspozycyjnego. Przemawiali pp. Kaiser, Kraus, Vaszaty i ks. Weber. Vaszaty bronił republiki francuskiej przed napaściami antysemity Gessmanna i rzekł, że trzeba nie mieć sumienia, aby obwiniać cały naród francuski z powodu ułomności niektórych indywiduów. Nie trzeba zapominać o tem, że z Francyi wyszło światło wolności, za co każdy naród powinien być jej wdzięczny. Ks. Weber uskarżał się na ucisk Czechów na Morawie. Po przyjęciu tytułu „Rada ministrów“ przerwano posiedzenie. Debata nad funduszem dyspozycyjnym odbędzie się dzisiaj.

Wiedeń 1 grudnia. Po wczorajszem posiedzeniu Rady państwa odbyła się narada ministrów, na której zastanawiano się podobno nad kwestyą, co obecnie czynić: czy kontynuować debatę budżetową, czy też zażądać uchwalenia prowizoryum budżetowego i odroczyć Izbę. Lewica prowadzi rokowania z rządem i z Kołem polskiem. Dymisya hr. Kuenberga dotychczas nie została przyjęta, nastąpi to zapewne dopiero po rozprawach nad funduszem dyspozycyjnym, jeżeli lewica przeciw temu funduszowi głosować będzie. W sferach poselskich zapewniają, że rząd mimo opozycyi lewicy zbierze dla funduszu dyspozycyjnego nieznaczną większość.

Wiedeń 1 grudnia. Dzienniki donoszą, że jeneralny dyrektor prywatnych funduszów cesarskich i familijnych bar. Mayr przeniesiony został na własną prośbę w stan spoczynku i przy tej sposobności otrzymał wielką wstęgę orderu Franciszka Józefa — a następcą jego został dotychczasowy szef sekcyi Chertek, — otrzymując równocześnie godność tajnego radzcy.

Rzym 1 grudnia. Senat włoski na tajnem posiedzeniu unieważnił 69 głosami przeciw 52, nominacyę byłego deputowanego Zuccaro senatorem. Podobny wypadek dotychczas jeszcze nigdy się nie zdarzył.

Sofia 1 grudnia. Na wczorajszem posiedzeniu skupczyny odczytał prezes ministrów Stambułow ukaz księcia, powierzający ministrowi sprawiedliwości Salabaszewowi tymczasowe kierownictwo ministerstwa finansów w miejsce p. Naczewicza, który otrzymał dymisyę.

Rzym 1 grudnia. W senacie odpowiedział wczoraj minister spraw zagranicznych Brin na interpelacyę senatora Lampertico w sprawie klauzuli austro-włoskiego traktatu handlowego, zniżającej cło od wina.

Minister wskazał przedewszystkiem na to, że rokowania prowadzone w tej mierze w Wiedniu przez wysłannika rządu włoskiego z austryackiem ministerstwem handlu, miały charakter jak najbardziej przyjacielski i doprowadziły do szczęśliwego rezultatu. Następnie wyliczył minister korzyści, jakie przyznano Włochom i zapewnił, że wszystkie interesa włoskich producentów wina znalazły w traktacie należytą opiekę. Zniesiono uciążliwy przepis, iż włoskie wina przed wprowadzeniem ich do Austryi muszą przez austryackie organa być chemicznie analizowane, co zabierało dużo czasu i utrudniało handel win włoskich, natomiast zgodził się rząd austryacki, aby wina włoskie wpuszczano do Austryi bez analizowania ich na granicy, jeżeli tylko przedłożonym zostanie certyfikat jednego z włoskich instytutów chemicznych, iż wina te są naturalne, a nie podrabiane. Wreszcie usunęło austryackie ministerstwo handlu także niektóre inne uciążliwe punkta reskryptu z 10 sierpnia, wprowadzającego w życie ową klauzulę traktatu, zniżającą cło.

Minister Brin oświadczył, że jest głęboko przekonany, iż ta klauzula traktatu będzie miała teraz wszystkie te praktyczne rezultaty, których włoscy producenci słusznie spodziewać się mogli.

Interpelant Lampertico oświadczył, że ta odpowiedź ministra zadawalnia go zupełnie.

Wiedeń 1 grudnia. Cesarzowa odjechała wczoraj wieczorem do Miramare. Cesarz odprowadził ją na dworzec.

Budapeszt 1 grudnia. W ciągu ubiegłej doby zachorowało tu na cholerę 4 osoby, a 1 umarła.

Paryż 1 grudnia. Na wczorajszem posiedzeniu ankiety panamskiej przesłuchano rzeczoznawcę buchhalteryjnego p. Flory, który badał księgi towarzystwa panamskiego. P. Flory nie chce poczynić żadnych zeznań, tłumacząc się tem, że nie chce zdradzać tajemnic zawodowych.

Przesłuchany jako świadek Rossignol również znawca ksiąg handlowych potwierdza, że br. Reinach wziął z kasy towarzystwa dziewięć milionów franków, którą to sumę wciągnięto wprawdzie do ksiąg, lecz nie uwidoczniono na jaki cel została użytą. Nazwisk polityków, którzyby otrzymali od towarzystwa jakie kwoty, nie znalazł p. Rossignol w księgach. Następny świadek p. Thierrée, dyrektor domu giełdowego zeznał, że br. Reinach złożył w banku francuskim dla tego domu giełdowego kwotę 3,900.000 franków. Ponieważ Thierrée stanowczo odmówił wymienienia nazwisk tych osób, które miały być obdzielone tą kwotą, przeto udali się trzej członkowie ankiety do jego mieszkania i sprawdzili numera czeków wystawionych przez ten dom giełdowy i kwotę, na którą opiewały. Dwa czeki opiewały na milion franków każdy. Wiceprezes ankiety zażądał od ministra sprawiedliwości Ricarda, aby położył areszt na czeki, wystawione przez tę firmę. Minister Ricard odstąpił to żądanie jeneralnemu prokuratorowi do załatwienia.

Wiedeń 1 grudnia. Asystent w szkole sztuk pięknych w Krakowie, artysta malarz Unierzyski, mianowany został nauczycielem tej szkoły.

Madryt 1 grudnia. Minister spraw wewnętrznych z powodu różnicy zdań, jaka panowała między nim a innymi członkami gabinetu w sprawie rozwiązania rady miejskiej w Madrycie, podał się do dymisyi. Na miejsce jego ministrem mianowany został wiceprezydent izby poselskiej Danvilla.

Ateny 1 grudnia. Prezes ministrów Trikupis przedłożył wczoraj izbie preliminarz budżetowy na rok 1893, wykazujący 110 milionów drachm dochodu a 104 milionów wydatków. W porównaniu z tegorocznym budżetem zawiera preliminarz na rok 1893 oszczędność w kwocie 5 milionów drachm, z tego milion oszczędzono na wydatkach na wojsko. Wreszcie oświadczył Trikupis, że ma zapewnione fundusze na wypłatę najbliższego kuponu greckich obligów państwowych.

Wiedeń 1 grudnia. Na porządku dziennym dzisiejszego posiedzenia Izby posłów stoi dyskusya nad funduszem dyspozycyjnym.

Przeciw temu funduszowi zapisali się do głosu pp. Prade (narodowiec niemiecki), Bianchini, Vaszaty, Herold i Plener.

Za funduszem zapisał się do głosu p. Romańczuk.

P. Prade imieniem swego stronnictwa oświadczył, że przyznaje budżet państwu, ale funduszu dyspozycyjnego nie przyznaje rządowi, gdyż mu nie ufa.

Paryż 1 grudnia *Journal des Debats* gani ostro wycieczki jakich dopuścił się w austryackiej Radzie państwa poseł antysemita Gessmann na republikę francuską i wyraża gorące uznanie prezydentowi Smolce za to, że udzielił p. Gessmanowi energicznej nagany za te wycieczki na Francyę, tudzież całej izbie poselskiej za to, że swem zachowaniem się dała do poznania, iż nie solidaryzuje się z wywodami p. Gessmanna.

Leodyum 1 grudnia. W kopalniach węgla w Horloz bastuje 1000 górników.

Przyjechali do Lwowa

dnia 1 grudnia 1882.

HOTEL ZORŻA. Hr. J. Tarnowska ze Śniatynki. J. Leśniewiczowa z Rudnik. A. Hulimka z Mycowa. L. Cieński z Okna. Hr. Borkowska z Mielnicy. K. Zbyszewska z Cebrowa. Hr. M. Łoś z Czyszek. W. Mierzeński z Dembowicy. A. Markiewicz z Bakończyc.

HOTEL FRANCUSKI. J. Słonecka z Zalarowa. K. Kallmann z Darmstadtu. A. Wybranowski z Czupernosowa. M. Morawetz z Wiednia. A. Kleinmann z Wiednia. J. Beer z Berlina. O. Carmine z Wiednia. J. Dworzak z Tomaszowa. A. Tischler z Wiednia.

Nadesłane.

Dnia 15 lipca 1892 wybuchł pożar w Wildenthalu (w powiecie Kolbuszowa) podczas sumy i tak gwałtownie się rozszerzył, że nim mieszkańcy zdołali przybyć z kościoła na miejsce pożaru, cała osada Wildenthal zgorzała. Aby dać najspieszniejszą pomoc pogorzelcom zawiązał się w tym celu komitet, składający się ze starosty kolbuszowskiego powiatu p. Wład. Korostyńskiego, ks. Czesława Królikowskiego, proboszcza pogorzelców, Gerharda Ingrama, Filipa Ditmajera i ks. Ludwika Ruczki, proboszcza w Kolbuszowej, który został wybrany na przewodniczącego komitetu.

Składki, które dotąd wpłynęły, są następujące: JCK. Ap. Mość Najj. Pan udzielił ze swej szkatuły 400 zł., JCKW. Arcyksiążę Albrecht 100, Sejm 200, Wydział krajowy 200, Zdzisław hr. Tyszkiewicz 100, Najprzew. ks. Łukasz Solecki, biskup przemyski 50, S. M. Rotschild 100, Wład. Korostyński, starosta w Kolbuszowej 5, Kasa zaliczkowa w Kolbuszowej 0, Kasa zaliczkowa w Głogowie 25, składka w kościele 2·50, gmina Dzikowiec 11·70, gmina Kopcie 14·50, ks. Józef Nawrocki ze Świerczy 5, L. Rożański z Zarzecza 1, Aleksander Gottlieb, weterynarz w Drohobyczu 1, Juliusz Drak, komisarz skarbowy w Krakowie 1, X. X. z Byszowa 5, X. Sroczyński z Jasła 5, Karolina Maresch z Kopciów 15, Fr. Michalewicz z Brodów 3, Zwierzchność gminna Schönanger 40·30, składka parafii Przewrotne 14·40, składka parafii Głogów 8·26, Marcin Osiniak z Dzikowca 20, składka w Jasionowie podczas złotego wesela państwa Erazmów Leszczyńskich 24·28, składka w Majdanie 12·67, Wydział pow. w Kolbuszowej 30, Ludmiła Zdulska 10, składka parafii Sanok 2·40, składka parafii Nienadówka [illegible], składka parafii Sędziszów i ks. Paweł Sapecki 21·30, ks. Marcin Skwierczyński, rektor semin. lac. w Przemyślu 15, składka parafii Szebnie 10, ks. Jan Jędrzejowski z Koziny składka 4, Gminy: — Trzęsówka 6·80, Zarębki 2, Ostrowy tuszowskie 9·48, Przyłęk 6·20, Hadykówka 5, Kossowy 4·80, Poręby Dymarskie 6·95, Majdan 8·43, Cmolas 11·20, Nowawieś 4·46, Mechowiec 5·30, Kolbuszowa dolna 5·84, Raniżów 10, Staniszewskie 5, Siedlanka 4·40, Poręby Huciskie 0·40, Przedbórz 5, Kolbuszowa górna 11, Świerczów 5, Mazury 17, Zielonka 5, Wólka sokołowska 4·15, Jagodnik 3·26, Wilcza wola 15, Górno 4·25, Trzeboś 11·70, Sokołów 31, Lipnica 91·33, Wola domatkowska 2.50, Krzątka 8, Kupno 30, Ostrowy baranow. 8·31, Nienadówka 9, Bukowiec 10, Poręby kupińskie 5, Majdan 10·23, Wulka sok. 3·02, Hucisko 11·49, Trześń 3·70, Huta komorowska 3, Trzebóska 4, Leszcze 2, Huta komorowska 4·20, Dąbrowa 7·39, Otwinów 4, Markowizna 9·35 — Obszar dworski Markowizna 1, składka w Ostrowach 2·50, ks. Szajnok z Raniżowa 10, składka parafii Raniżów 11·60, składka parafii Górno 5, składka par. Niwiska 9·10, składka parafii Sokołów 21, Marko, gospodarz kasyna, z zabawy w Kolbuszowej 5·05, parafia Dąbrowa 16, par. Bolesław, urząd paraf. Trzęsówka 3, żyd. gmina Majdan 2, żyd. gmina Kolbuszowa 3, z ob. dwor. Przedborzu 5, z obsz. dw. Trzęsówka 4·85, urząd par. Pyglice 14, gmina Domatków 4, gmina Werynia 10, Nowy Targ 5, Wydział z Bóbrki 5, z Jasła 10, gmina Komorów 4·95, gmina Brzostowa góra 3·76, gmina Niwiska 5, gmina Kolbuszowa 10, Wydział pow. z Łańcuta 5, Wydział pow. z Tarnobrzega 10, W. p. z Niska 10, Wydział pow. z Mielca 10, Wydział p. z Wadowic 5, dr. Jan Hupka 25, ks. prałat Ruczka 5, Ekstein 15 sztuk drzewa, gmina Siedlanka kopę słomy, Zdzisław hr. Tyszkiewicz 100 sztuk drzewa i 280 sztuk łat, Schindler z Mokrzyszowa 100 sztuk drzewa, Jan Błotnicki 74 sztuk drzewa' Wanda Żółkiewska z Wilczej Woli 30 sztuk drzewa, Uhrynowska z Raniżowa 10 sztuk drzewa, Mieczysław hr. Rey z Przecławia 10 kóp łat, Niewiarowski z Przyłęka 5 kóp łat, Politalska z Przewrotnego 4 korcy żyta, 1 kopę i 10 snopów pszenicy i półtorej kopy owsa, gmina Wola rusinowska 3 kopy 42 snopów żyta, gmina Raniżów 5 fur zboża, gmina Widełka 3 fur zboża, gmina Zębcza 1 furę zboża, Mareszowa z Kopciów 4 korce żyta, Zdulska Ludmiła z Rejowca 1 korzec pszenicy.

Komitet składa w imieniu pogorzelców najgłębsze podziękowanie „Bóg zapłać.“

Kolbuszowa dnia 10 listopada 1892.

Przewodniczący komitetu
X. *Ruczka*,
tajny szambelan Ojca św., prob. w Kolbuszowej.

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 1 grudnia godz. 1. min. 30.

Akcye kred.	316·50	Węg. kolej półn. wschodn.	197·—
Alpiny	51·80	Wiedeńskie losy kom.	163·50
Kredyty węg.	363·—	Akcye tyton.	167·50
Anglobanki	150·50	Gal. obl. indem.	105·—
Uniony	237·—	Elbethale	228·50
Ludwiki	216·75	Länderbanki	225·30
Nordbany	279.—	Renta zł. węg.	113·45
Lombardy	91·87	Bankvereiny	114·25
Losy tureckie	45·40	Renta węg. p.	100.55
Staatsbahny	299·—	Ruble	1·17·75
Czerniowieckie	245·50		

Usposobienie spokojne.

Lwów. Z Izby handlowej 1 grudnia 1892.

1. Akcye za sztukę.

bez kuponu bieżącego	płacą		żądają	
bez dywidendy.				
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. w. a.	215	25	218	25
„ Lwow.-czer.-jass. 200 zł. w. a.	244	50	247	50
Banku hipotecz. galic. 200 zł. w. a.	338	—	—	—
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	—	—	215	—
Listy zastawne za 100 zł.				
Banku hip. galic. 5% 40 „	100	80	101	50
Banku hip. galic. 5% z 10% pr.	108	—	108	70
Banku hip. 4½% wa. lok. w 50 lat	98	20	98	90
Banku krajowego 4½% wa.	98	75	99	45
Tow. kred. galic. 4% nieokr.	95	80	96	50
„ „ „ 4% „ 41½	94	50	95	20
„ „ „ 4% „ 52 l.	99	90	100	60
„ „ „ 4 „ 58	94	—	94	70
3. Listy dłużne za 100 zł.				
Z. G. kr. wł. (daw. 6%) 3% w likw.	—	—	—	—
„ „ „ (daw. 6%) 2½% „	53	50	56	50
4. Obligi za 100 zł.				
Indemnizacyjne galic. 5 prc. m. k.	104	80	105	50
Galic. fund. propinacyjnego 4%	94	60	95	30
Bukow. fund. propin. 5% w. a.	101	50	102	20
Kom. banku kraj. 5 prc. w. a. I em.	101	—	101	70
Pożyczka kraj. z r. 1873 z pr. w. a.	103	50	—	—
„ „ „ 1883 4½%	91	75	92	45
5. Losy.				
Losy miasta Krakowa	23	50	25	50
„ „ Stanisławowa	30	50	32	50
6. Monety.				
Dukat holenderski	5.64		5.74	
Napoleondor	9.51		9.61	
Półimperyał rosyjski	9.65		—.—	
Rubel rosyjski srebrny	1.17—		1.24—	
„ „ papierowy	1.17—		1.19—	
100 marek niemieckich	58.65		59.15	

102)

MATKA I MĘCZENNICA

POWIEŚĆ

przez

Pawła d'Aigremont.

Tłumaczona przez Leopolda Czapińskiego

(Ciąg dalszy).

Spojrzała nań przestraszona, ale w tejże chwili odzyskała krew zimną i wzruszając ramionami, odrzekła:

— Zwaryowałeś pan chyba... Zresztą nic dziwnego na taki upał... Przytem — dodała wyniośle — nie lękam się pana...

Błyskawica mignęła w oczach Indjanina.

A gdyby ją schwycić za gardło i udusić?

Opanowała go nieprzezwyciężona pokusa. Nozdrza jego rozszerzyły się, czoło przekroiło głęboką fałdą, usta zbladły.

Klara, widząc grożące jej niebezpieczeństwo, wezwała Klemensa.

— Na pomoc! — zawołała przerażona.

Gaube, jak gdyby zahypnotyzowany, nawet się nie poruszył.

Cała ta scena trwała jedną sekundę.

Inna myśl przyszła do głowy Ryszarda. Jeżeli zadusi Klarę, osadzą go w więzieniu i oddadzą pod sąd. Wtedy nie będzie mógł, jak sobie projektował, wywieść do Indyi Magdaleny, która, pozostawiona tutaj, nie przeżyje swej boleści...

Nie można... inny ciąży na mnie obowiązek.

Brutalnie odtrącił Klarę i rzekł:

— Idź... Zabijając cię, popełniłbym szaleństwo. Zemsta jest potrawą, którą należy jeść na zimno!... Ale przysięgam na honor, nie stracisz nic na opóźnieniu.

Odstąpił od drzwi, do których przejście przegradzał sobą i gdy oboje wspólnicy, przestraszeni, wymknęli się na ulicę, powrócił do Magdaleny.

— Chcemy odwieść Magdalenę do hotelu — — rzekł Rajmund do Ryszarda.

— Ja uważam, że lepiej wprost do Roche-Morte. A pan jak sądzi, panie Aubry.

— I ja jestem tego zdania — odrzekł adwokat. — Najlepiej byłoby gdybyście panowie odwieźli hrabinę do jej domu.

— Ja nie mogę... — oświadczył doktór. — Karol z niecierpliwością oczekuje wiadomości o rezultacie sprawy. Muszę iść do niego natychmiast.

— Dobrze, więc odwiezę hrabinę sam — odrzekł Ryszard. — Lecz przyjeżdżaj pan do nas o ile można najprędzej!

— Przyjadę, skoro tylko będę mógł.

Ryszard obejrzał się, by posłać kogo dla wyszukania powozu, gdy wtem poszedł do nich Andrzej Bascou.

— Nareszcie — odezwał się — skończyłem!

— Co takiego? — zapytał Rajmund.

— Podałem prośbę o uwolnienie mnie z posady komisarza policyi i rozprawiłem się z p. Grenier. Jest wściekły i przerażony... Wszyscy mówią, że niedługo dostanie dymisyę... Co do mnie, pozostawałem na urzędzie dopóty, dopóki mogłem być użytecznym hrabinie; dziś zaś sądzę, że przydam się jej gdzieindziej... Jestem wolnym i mogę poświęcić jej cały mój czas.

— Czy masz pan środki, zapewniające byt? — zapytał Ryszard, ucieszony z postanowienia Andrzeja i pragnąc zapytaniem swem poznać lepiej człowieka, dla którego, od chwili poznania go, czuł nieprzezwyciężoną symatyę.

— Nie mam żadnych. Ale ponieważ wiem, z jakiem poświęceniem zajmuje się pan hrabiną, sądzę więc, że sługa wierny przyda się panu. Rachowałem, że użyjesz mnie pan i zapewnisz mi byt.

— Miałeś pan myśl wspaniałą! — zawołał Ryszard uradowany. — Tylko że nie będziesz pan służącym, lecz moim przyjacielem... Masz moją rękę, Andrzeju, i przyjmij zapewnienie mego szczerego szacunku... Doskonale! A teraz do roboty... dla ocalenia jej od rozpaczy i powrócenia jej córki!

— Jej córki?... córki zmarłej?... Czy i on zwaryował? — pomyślał Rajmund, spoglądając nań z boleścią.

Ryszard położył palec na swych ustach.

— Cicho!... — rzekł. — Tutaj ani słowa o tem więcej. Przyjeżdżaj z p. Aubry do Roche-Morte, skoro tylko będziecie mogli, a powiem wam wszystko, co mi wiadome i jaką mam nadzieję... A teraz, panie Andrzeju, wystaraj się nam koniecznie o powóz.

— Uważałem, że najlepiej byłoby, gdyby hrabina wróciła do siebie jak najprędzej i sprowadziłem powóz z Roche-Morte wraz ze służbą.

Ryszad spojrzał na Adnrzeja wzrokiem, który go wynagrodził za jego przezorność i trudy.

— Dziękuję; myślałeś pan o wszystkiem! — a następnie, zwróciwszy się do Magdaleny, rzekł: — Chodź, Magdaleno, jedziemy do Roche-Morte...

Ale hrabina nie zrozumiała słów jego.

Rajmund załamał ręce z rozpaczy.

— Boże wielki! — zawołał — ależ ona jest nieprzytomna! Czyżby miała utracić zmysły, jak Janina?... —

Z kolei podszedł Ryszard i wziął ją za rękę.

— Magdaleno! — rzekł tonem serdecznym — Magdaleno droga!...

Głos jego przebudził ją.

— Chodź ze mną — dodał, pociągając ją ku sobie.

Na ten raz hrabina usłuchała i dała się poprowadzić. Ale była złamana i nie mogła utrzymać się na nogach.

Rajmund i Ryszard wzięli ją pod ręce i raczej zanieśli, niż zaprowadzili do oczekującego na ulicy powozu. Ryszard siadł obok niej, Bascou usadowił się obok woźnicy, Rajmund zaś z p. Aubry, przyrzekłszy raz jeszcze wkótce przybyć do Roche-Morte, pożegnał się i odszedł do Karola.

XII.

To nie ona!...

Seconda, uprzedzona o spodziewanem przybyciu swej pani do Roche-Morte, przygotowała wszystko na jej przyjęcie.

Przedsionek, w którym zebrali się wszyscy służący, nie wywarł na Magdalenie wrażenia, jakiego oczekiwał Ryszard. Pozostała milcząca, błędnym wzrokiem spoglądała przed siebie i ledwie mogła utrzymać się na nogach.

Andrzej Bascou pamiętał o sprowadzeniu doktora Mothes.

Magdalena nie poznała go.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: Wacław Masłowski. Papier braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządca: Walenty Hodak.